płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—30.XI.1987

22

BIBL. WSP
Akc./C Czyt

Fot. Roman Kamiński

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Trzeba być posłusznym.

— Co miałem zrobić? On się nie chce sam kąpać!

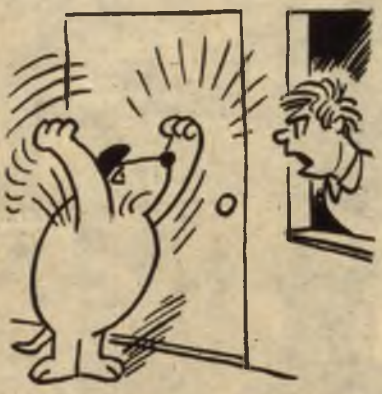

— Czy ty nie potrafisz drapać i skomleć jak inne psy?

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE!

OKOLICE Pasłęka w woj. elbląskim obfitują w torfowiska. Torf tamtejszy nie ma równego sobie w Europie i jest eksportowany do wielu krajów, między innymi do Wielkiej Brytanii, Austrii, Finlandii, Holandii, Szwecji i Włoch. Kraje te sprowadzają torf z okolic Pasłęka dla celów ogrodniczych i dla sadownictwa. Specjalną odmianę pasłęckiego torfu kupują holenderscy hodowcy orchidei.

●

OD LIPCA br. jest na Ziemi 5 miliardów ludzi. Co minutę rodzi się 150 nowych mieszkańców naszej planety. 90% naturalnego przyrostu ludności przypada obecnie na kraje rozwijające się.

●

100-TONOWA GÓRA lodowa z Grenlandii — to atrakcja wystawy „Expo-87" w Japonii. Góra lodowa została pocięta na kawałki i załadowana na duński statek. W Japoniii góra zostanie „złożona" i umieszczona w specjalnym pawilonie-chłodni. Lód grenlandzki staje się swoistym artykułem eksportowym z uwagi na brak w nim zanieczyszczeń.

JEDEN z wydziałów statystycznych ONZ podaje każdego roku, jakie jest aktualnie najpopularniejsze kobiece imię na świecie. W tym roku jest to Anna (Hanna). W ubiegłych latach najpopularniejsze było tradycyjne imię Maria.

●

KRAJE skandynawskie i Japonia mogą się poszczycić długością życia swoich obywateli. Kobiety żyją tam przeciętnie 79,8 lat, a mężczyźni 73,8 lat. Świadczy to, że te kraje zajmują pierwsze miejsce w światowej statystyce.

●

NA PUERTO—RICO, wyspie leżącej na Morzu Karaibskim, żyje pewien gatunek świecących chrząszczy. Dwa lub trzy takie chrząszcze umieszczone pod szklanką mogą oświetlać dostatecznie pokój średniej wielkości. Przy blasku takiej „lampy" można czytać książkę jak przy świecy.

●

NAJWYŻEJ skacze delfin. Może on wyskoczyć na wysokość 6 metrów ponad lustro wody. Jest to absolutny rekord, gdyż nawet żadne z lądowych zwierząt nie skacze wyżej.

Nasza okładka:

Spojrzę na Stare Miasto z murów warszawskiego Barbakanu

DESZCZ

Gdy srebrne lustro nad miastem pęka,
Deszcz
Nagle
Pada.
W ilu już padał ten deszcz piosenkach,
W ilu balladach...

A ty milczący stoisz przy oknie.
Pragniesz mu pomóc.
Kiedy na deszczu
Deszcz
Sam przemoknie,
Chce wejść do domu.

Słyszysz, jak stuka:
„Wpuśćcie mnie proszę,
Bo się rozpłynę...
Dajcie
Parasol,
Stare kalosze
I
Aspirynę!"

Ryszard Marek Groński
Rys. Wiesław Majchrzak

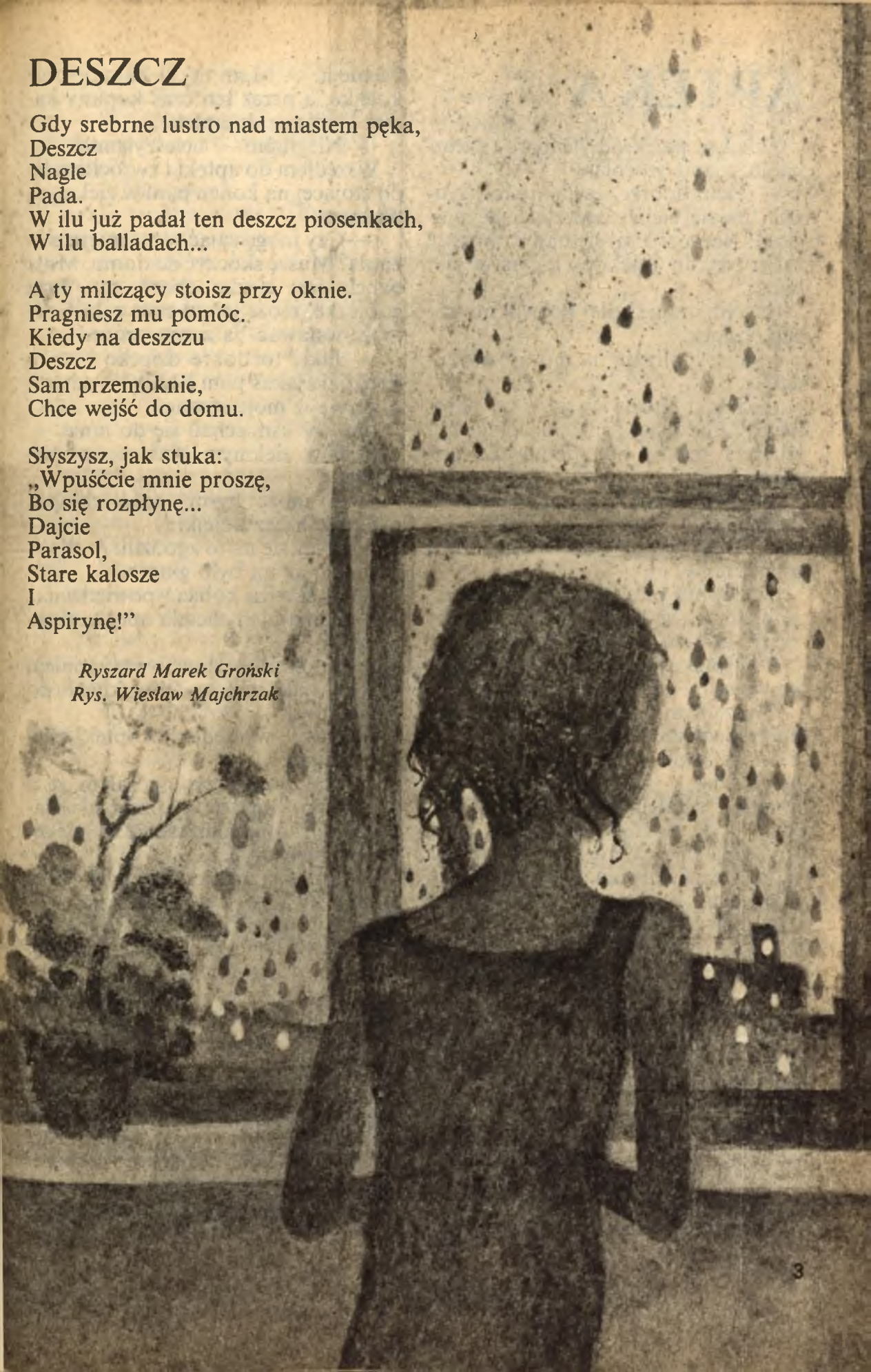

APTEKA

Zaledwie przekroczyłem próg mieszkania, mama zawołała:

— Och, dobrze, że już jesteś, synku! Już się ciebie doczekać nie mogłam. Nie rozbieraj się nawet. Musisz zaraz biec do apteki po lekarstwa dla babci.

— Nogi mnie bolą! Pozwól mi trochę odpocząć.

Mama spojrzała na mnie z wyrzutem.

— Przed chwilą wyszedł od babci lekarz. Grozi jej zapalenie płuc. Lekarstwa muszą być podawane już, zaraz!

— Daj te recepty — powiedziałem niechętnie.

— Dobrze, że babcia nie widzi twojej miny.

— Jakbyś przyszła taka zmęczona ze szkoły, też byś nie miała ochoty lecieć od razu nie wiadomo gdzie.

— Apteka jest przecież parę kroków stąd! — zawołała mama.

Wyszedłem i zaraz za rogiem ulicy natknąłem się na Marka.

— Właśnie szedłem do ciebie — powiedział. — Chcę sobie kupić nową kasetę. Dostałem forsę od taty. Idziemy?

— Nie mogę. Muszę iść do apteki. Babcia zachorowała. Ale jak chcesz, to poczekaj tu na mnie. Załatwię to raz dwa i zaraz będę z powrotem.

— To już lepiej przejdę się z tobą.

Przez szybę wystawową zobaczyliśmy, jaka kolejka jest w aptece. Marek nawet nie wszedł do środka.

— To ty sobie zostań, a ja polecę. Najwyżej przyjdziesz potem do mnie do domu, to sobie posłuchamy.

— Nie poczekasz na mnie?

— Coś ty, chory?! Przecież ty tu postoisz najmarniej z godzinę.

— Nie chcesz, to nie! — powiedziałem rozżalony.

— Czekaj, czekaj! — zawołał z ożywieniem. — Mam myśl! Zajmij sobie kolejkę, a przez ten czas kupimy kasetę i wrócisz do apteki.

— Niegłupio — ucieszyłem się.

Wszedłem do apteki i zwróciłem się do stojącej na końcu pani w zielonym płaszczu.

— Czy mogę zająć sobie miejsce za panią? Muszę skoczyć do domu. Moja babcia jest ciężko chora, ma dużą gorączkę, może jej się chce pić. A nie może wstawać. Ja zaraz wrócę.

— Jakie to dobre dziecko — powiedziała jakaś pani z kolejki, odwracając się w moją stronę.

Inni też uśmiechali się do mnie.

Pani w zielonym płaszczu powiedziała:

— A może byśmy tego chłopca przepuścili bez kolejki.

Wszyscy się na to zgodzili. A chwalili mnie, aż mi było głupio.

Jakaś starsza kobieta powiedziała:

— Sama bym chciała mieć takiego wnuczka.

Przez okno wystawowe widziałem Marka, jak zadowolony kiwał do mnie głową.

Za chwilę wyszedłem z apteki z lekarstwami.

— Nawet nie przypuszczałem, że ci tak dobrze pójdzie — zawołał Marek. — Grunt to mieć głowę na karku. No, to możemy lecieć.

— Może ja najpierw zaniosę babci te lekarstwa? — Zawahałem się.

— Nie bądź śmieszny. Gdyby nie ja, stałbyś w tej kolejce z godzinę. Masz duży zapas czasu.

Trochę się jeszcze wahałem, ale Marek pociągnął mnie za ramię.

Tramwaj długo nie nadjeżdżał. Poszliśmy pieszo.

W sklepie Marek strasznie marudził. Nie bardzo wiedział, jaką kasetę wybrać. Próbowałem mu doradzać, ale mieliśmy odmienny gust. Aż sprzedawca zniecierpliwił się trochę.

— No, chłopcy, pospieszcie się! Inni też chcieliby coś kupić.

Wybraliśmy grupę „Vox". Ten zespół lubiliśmy obaj.

— Wstąpisz do mnie, to sobie przesłuchamy. Nawet będziesz miał po drodze.

— A lekarstwa?

— E, nudny jesteś. Tłumaczyłem ci, że masz dużo czasu...

— No, dobra, idę do ciebie, ale tylko na chwilę.

Chyba kwadrans czekaliśmy na autobus. Ciągle spoglądałem na zegarek. Aż się Marek zdenerwował.

— Z tobą to naprawdę trudno wytrzymać. Jak nie chcesz iść ze mną, to nie! Ale nie zachowuj się jak głupi.

Kaseta była świetna, niektórych piosenek słuchaliśmy po parę razy.

Kiedy Marek przekładał ją na drugą stronę, zawołałem:

— O, rany! Już się prawie ciemno robi! Muszę lecieć!

Biegłem przez miasto, nie czekałem nawet na autobus ani na tramwaj.

Zdyszany wpadłem do domu.

— Coś ty robił tak długo? — zawołała mama.

— Była okropna kolejka. Chyba ze sto osób!

Mama była bardzo rozgniewana.

— Daj już wreszcie te lekarstwa. Babcia ma coraz większą gorączkę. Zagrzej sobie zupę i mięso i zjedz — dodała i pobiegła z buteleczkami i proszkami do pokoju babci.

Kiedy wyszła stamtąd, starannie zamknęła drzwi za sobą i usiadła naprzeciwko mnie.

Właśnie zabierałem się do drugiego dania.

— Byłam w aptece — powiedziała.

Spojrzałem na nią trochę niespokojnie.

— Martwiłam się, czy ci się coś nie stało... Więc poszłam...

— No, to samą widziałaś, jaka była kolejka.

— Tak. Tylko, że ty w niej w ogóle nie stałeś...

— Bo już na pewno wyszedłem. Musieliśmy się minąć po drodze...

— Nie mogliśmy się minąć. To było prawie godzinę temu. Ludzie w aptece powiedzieli mi o dobrym chłopcu, który spieszył się do chorej babci...

Milczałem. Jedzenie przestało mi smakować.

Wanda Osuchowska-Orłowska
Rys. Joanna Kusek

SCHODY

W klatce
Schodowej
Stare
I zdarte
Schodziły
Sobie
Schody
Na parter
Gdy wszystkie
Zeszły
Aż do ostatka
Została
Pusta
Schodowa
Klatka

Ludwik Jerzy Kern
Rys. Marek Ziarkowski

TAJEMNICA

— Tylko, żebyś nikomu a nikomu tego nie powtarzała — zastrzegła się Wanda i ze wzburzenia zaczęła rozplatać warkocz. — Nikomu a nikomu. To jest absolutnie śmiertelna tajemnica i gdyby Asia wiedziała, że ci ją powtarzam, toby mnie zabiła. Bo musiałam jej przyrzec na wszystkie świętości, że nikomu nie powiem.

— Dobrze, nie powtórzę — zapewniła Agnieszka. — A mamie mogę?

— Ależ, Boże, broń! — przestraszyła się Wanda. — Żadnemu dorosłemu.

— A co z Krysią?

— Krysi też nie! Co ty tak pytasz jak dziecko! Nikomu, to nikomu! Tobie też bym nie powiedziała, ale mnie roznosi!

Dziewczynki siedziały na ławce przed szkołą, pod wystającym daszkiem i chociaż było im zimno, nie chciało im się wracać do domu. Tajemnica Asi była w tej chwili najważniejsza i trzeba było ją dokładnie omówić. Ławeczka jednak porządnie ziębiła i Agnieszka przypomniała sobie, że mama ją zawsze ostrzegała przed siadaniem na czymś zimnym albo mokrym.

— Może się przespacerujemy? — zaproponowała koleżance i Wanda się zgodziła, bo dlaczego nie, chodząc też można mówić.

— No więc... — zaczęła — no więc... w życiu byś nie zgadła!

— Powiedz wreszcie...

— Asia już jest właściwie pełnoletnia!

Agnieszka spojrzała na przyjaciółkę zupełnie baranim wzrokiem.

— Co ty opowiadasz — zaśmiała się — Asia chodzi z nami do tej samej klasy i ma akurat tyle lat, co my.

— A nie, bo jest o rok starsza, ty nawet o tym nie wiesz — powiedziała

dramatycznym szeptem Wanda. — Bo kiedy Asia miała osiem lat, złamała nogę i straciła cały rok. Więc ma o rok więcej niż my!

Agnieszka w dalszym ciągu nic nie rozumiała.

— I co? I to jest ta tajemnica? Że Asia siedziała dwa lata w drugiej klasie?

Nie, to nie była ta tajemnica, Wanda nawet wzruszyła ramionami, czego Agnieszka bardzo nie lubiła.

— Zaraz, zaraz, kiedy to tam było? A tajemnica zaczęła się w sobotę o czwartej po południu. Nie przerywaj mi wreszcie, to ci opowiem. No, więc tak: ten Marek z naszej klasy, ale nie ten gruby Marek, tylko ten szczupły z czarnymi włosami, wiesz, urządzał urodziny i zaprosił prawie samych chłopaków, wiesz, ale jego mama i mama Asi bardzo się przyjaźnią, wiesz i...

— Przestań z tym „wiesz", bo nie rozumiem, o czym mówisz — zdenerwowała się Agnieszka.

— A czy ja mówię „wiesz"? — zdziwiła się Wanda. — No, więc wiesz, temu chudemu Markowi nie wypadało nie zaprosić Asi i zaprosił ją i jeszcze dwie dziewczyny, ale nie z naszej klasy, bo gdyby one były z naszej klasy, toby już dawno cała tajemnica się wydała. Tylko wiesz, to były córki znajomych mamy tego Marka, taka jedna Iwona i druga Jolka, brzydkie obie jak nie wiem co. I wiesz, przy nich Asia to była miss Polonia. No i na tych imieninach był taki jeden Piotrek z tego podwórka, gdzie mieszka Marek...

— A co, Marek mieszka na podwórku? — nie wytrzymała Agnieszka.

— Znowu zaczynasz się czepiać słów? — zirytowała się jej przyjaciółka. — Jak nie chcesz, to mogę ci w ogóle nic nie mówić. No, więc był tam ten Piotrek i on jest o dwa lata starszy nawet od Asi, w ogóle dorosły

chłopak, a jakie ma oczy!!!

— Skąd wiesz? — zdziwiła się Agnieszka. — Znasz go?

— Ale, gdzie tam, Asia mi mówiła — powiedziała smutnym głosem Wanda. — Czarne ma oczy, i coś jakby wąsik. Taki puszek pod nosem, nie wiem, Asia mówi, że to piękne. I on jej dał swój kawałek tortu. Asia prawie płakała ze wzruszenia, kiedy mi o tym opowiadała. I wiesz, co jej przy tym powiedział? Wiesz?

— Nie wiem...

— Powiedział takim aksamitnym głosem, wiesz, jak w kinie. Zaraz, żebym nie pokręciła... Powiedział: „Masz, jedz, mnie się od tego niedobrze robi..."

Agnieszka spojrzała na Wandę z niedowierzaniem.

— To nie bardzo uprzejmie po-

wiedział — zauważyła — ja bym się na miejscu Asi tak nie zachwycała.

Wanda spojrzała na przyjaciółkę z politowaniem.

— Bo ty nic nie rozumiesz — sapnęła — on naumyślnie tak powiedział, przecież nie mógł być od razu senty... no, jak to się mówi? O, sentymentalny. Bo to przecież mężczyzna, a mężczyźni się nie rozczulają przez byle tort, wiesz? No, więc dał jej ten tort i nawet przyniósł inną łyżeczkę, bo swoją oblizał po tym kawałku, który zjadł. Asia jest pewna, że tort mu smakował, bo nawet palec też oblizał! A mimo to jej dał. I ona powiedziała, wiesz, przez takie zaciśnięte gardło, czekaj, żebym dobrze powtórzyła, powiedziała: „Co tam będę cię objadać". A on spojrzał jej głęboko w oczy i zaszeptał, wiesz: „Jedz, bo jak nie, to wezmę i wyrzucę". To Asię zupełnie zatkało, no i zjadła ten tort. A potem, no nie uwierzysz, ten Piotrek wziął ją za rękę i powiedział: „Asiu, zostań moją narzeczoną", i to było właśnie o czwartej i od tego czasu Asia jest dorosła, bo jak ma narzeczonego, to jest dorosła, może nie?

Wanda spojrzała triumfalnie na zaskoczoną Agnieszkę. I rzeczywiście, wiadomość była niesłychana. W tym wieku się zaręczyć, to ho, ho! Agnieszka aż przystanęła.

— Co ty mówisz! — pokręciła głową. — I co? I Asia się zgodziła? A jej rodzice?

— Pewnie, że się zgodziła, kto by się nie zgodził — prychnęła Wanda. — A rodzice oczywiście absolutnie o niczym się nie mogą dowiedzieć!

— Dlaczego?

— Bo by ich zamordowali albo Asię by zawieźli na drugi koniec świata, albo sama nie wiem co. Za nic by na to nie pozwolili, nie znasz dorosłych? Od razu by powiedzieli, że to za wcześnie, albo że ten Piotrek to łobuziak, albo sama nie wiem co. I dlatego to musi być śmiertelna tajemnica, wiesz, i żebyś nikomu słowa nie pisnęła. Bo oni może nawet się spotykają, wiesz?

— No to co, że się spotykają? Przecież mogą się spotykać, co to rodzicom szkodzi?

Wanda znowu wzruszyła ramionami.

— Żałuję, że ci powiedziałam — podsumowała dyskusję — za głupia jesteś...

Dziewczynka urwała, bo właśnie zbliżała się Asia. Ale nie sama. Po jej prawej stronie szedł wysoki, przystojny chłopak z czarnymi włosami, a po lewej jej mama. Chłopak niósł siatkę z jabłkami i drugą siatkę z kartoflami, a zadowolona mama machała lekką torebką.

— Cześć — powiedziała Asia. — Mamusię znacie. A to jest Piotrek.

— Piotrek to nowy przyjaciel Asiuni — wyjaśniła mama — bardzo się lubimy, prawda? I zobaczcie, jaką mam wygodę, nareszcie ktoś mi pomaga nosić te siaty. Kochany z ciebie chłopak, Piotrusiu.

— E, tam — mruknął Piotrek i spojrzał pytająco na Asię.

— Prawda, zapomniałam, to jest Wanda, a to Agnieszka. No, to cześć!

— Cześć! — powtórzył Piotrek, potem to samo powiedziały dziewczynki, a mama Asi kiwnęła głową i cała trójka sobie poszła.

— No, i gdzie twoja tajemnica? — zaśmiała się Agnieszka.

— Jak to gdzie? Czy ty myślisz, dziecko drogie, że mama Asi wie, że oni są zaręczeni? Że za dziesięć lat się pobiorą? — Też! — parsknęła Wanda i po raz trzeci wzruszyła ramionami.

A Agnieszka pomyślała, że rzeczywiście, może Wanda ma rację, bo przecież co innego kolega córki, a co innego przyszły zięć. Więc tajemnica jednak musi pozostać tajemnicą.

Irena Landau

Rys. Anna Kołakowska

SŁOŃ jest niezwykle zgrabny. Może więc pracować i w sklepie z porcelaną. LEW natomiast jest tak grzeczny, że sam — kiedy trzeba — spokojnie wróci do ZOO. A krokodyl, po rycersku, ostrzeże kucharza: — uważaj, jeśli nie przestaniesz zaraz tak dużo gadać, to cię zjem!

— Gdzie mieszkają takie zwierzęta?

Tylko w jednym miejscu na ziemi, w wierszach TADEUSZA ŚLIWIAKA.

— A on sam jaki jest?

Dziwny. Bardzo dziwny. Wyobraźcie sobie, że chwilami (tak mi się wydaje) bardziej od własnych cieszą go ładne, dobre wiersze innych poetów. A w wolnych chwilach pisze poezje dla dorosłych.

— Słuchaj — wołą do mnie przez telefon z Krakowa — przyszła tu do nas, do „Życia Literackiego", zdolna poetka. Pisze dla dzieci. Może przeczytasz, co napisała?

I taką to życzliwą drogą trafiła do „Płomyczka" pani Anna Jabłońska.

Tadeusz Chudy

SPOTKAŁ KUCHARZ KROKODYLA

Spotkał kucharz krokodyla,
spytał: — Czym pan się posiła?
Co pan jada wcześnie rano?
Ryż czy serek ze śmietaną?
Bułkę z masłem, mleko zsiadłe?
Powiedz, proszę, czy odgadłem?
Wiem, pan woli na śniadanie
pewnie jakieś rybie danie.
Pstrągi, karpie lub łososie,
czy też śledzie w własnym sosie?
Lubi zjeść pan, mam nadzieję,
lecz rozmowny to pan nie jest.

Na to krokodyl w uśmiechu
pokazał mu swoje kły
i rzekł:
— Najchętniej to jadam
takich gadułów jak ty.

Tadeusz Śliwiak
Rys. Sabina Uścińska-Stwczuk

SŁOŃ W SKLEPIE Z PORCELANĄ

W pewnym miasteczku
daleko stąd,
codziennie oprócz
niedziel i świąt,
zawsze dokładnie
o ósmej rano
słoń sklep otwierał.
Sklep z porcelaną.

Z gazetą siadał
na wielkim krześle
i wiodło mu się
zupełnie nieźle.

Patrzył na swoje
półki, gdzie stały
rzędy talerzy
lśniących i białych.
A dalej — spodki
i filiżanki,
czajniczki oraz
złocone dzbanki.

Już do sprzedaży
wszystko gotowe,
nawet figurki
porcelanowe.
Przyszła żyrafa:
— Słoniu łaskawy,
wybierz mi, proszę,
serwis do kawy.
Tuż po żyrafie
wszedł hipopotam.
Nie wytarł butów.
Naniósł mu błota.
To gruboskórne,
kłótliwe zwierzę
tłucze w swym domu
wszystkie talerze.
Na łbie ma wiele
głębokich blizn.
— Czym mogę służyć?
— Proszę sześć mis!

Tylko nie żadna tam porcelana,
bo takie kruche cacka nie dla nas.
Jeśli już miska —
to fajansowa!
— Proszę.
Na miejscu czy zapakować?

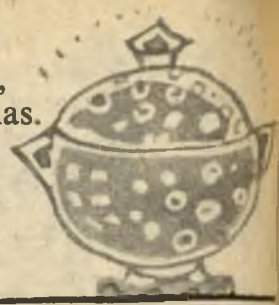

Chciał fajansowe,
ma fajansowe!
Jak je rozbije,
przyjdzie po nowe.

Po nim przybyli
kangur i zebra
i chcieli kupić
łyżki ze srebra.
Słoń wprawdzie łyżek
nie miał na składzie,
lecz z klientami
sobie poradził.
Bo tak zachwalał
swą porcelanę,
że zamiast łyżek
sprzedał im dzbanek.
Słoń waży wiele,
z trudem się rusza,
lecz nic nie znaczy
dla słonia tusza,
gdy kupujących
w sklepie przybywa.

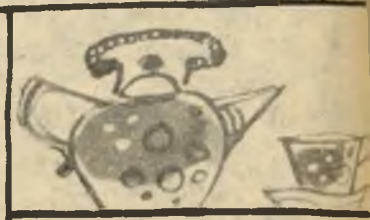

Kłania się nisko —
z miejsca się zrywa.
Z najwyższych półek
trąbą unosi
wszystko to, o co
klient go prosi.
A tak się zgrabnie
krząta w tym sklepie,
że nikt od niego
nie umie lepiej.

Bo ten słoń właśnie...
Bo ten słoń przecież
był najzgrabniejszym
słoniem na świecie.

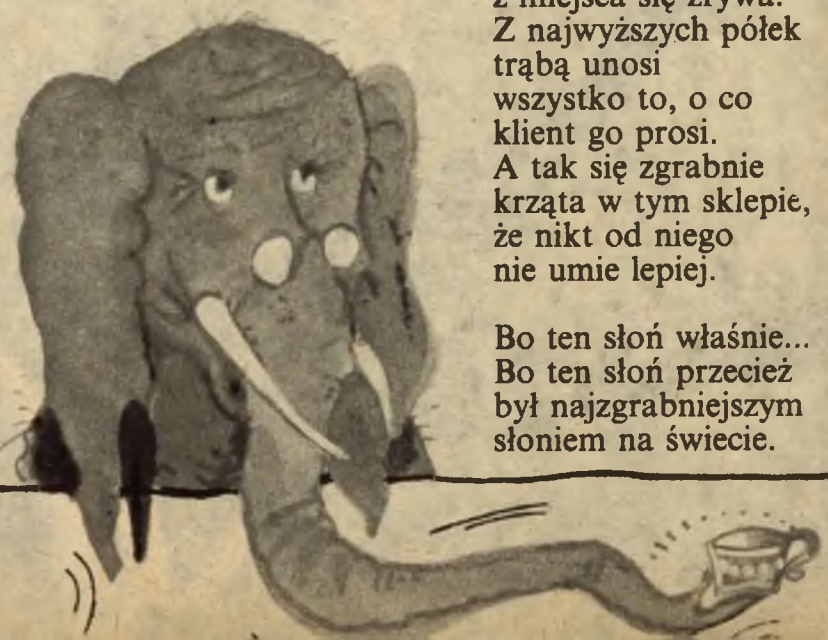

SPACER LWA

Chociaż to przypadek rzadki,
raz — przepisom wbrew —
pewien stróż nie domknął klatki,
w której mieszkał lew.

Dzień był ładny, słońce grzało,
śpiewał ptak wesoło.
— Przejdę się — rzekł lew — i śmiało
wyszedł sobie z ZOO.

Pierwszy go zobaczył lodziarz.
Zadrżały mu ręce.
Dał mu lodów cztery porcje
i nie chciał pieniędzy.

Żołnierz, widząc go, zbladł nieco
i z wielkim zapałem
tak gorliwie salutował
jak przed generałem.

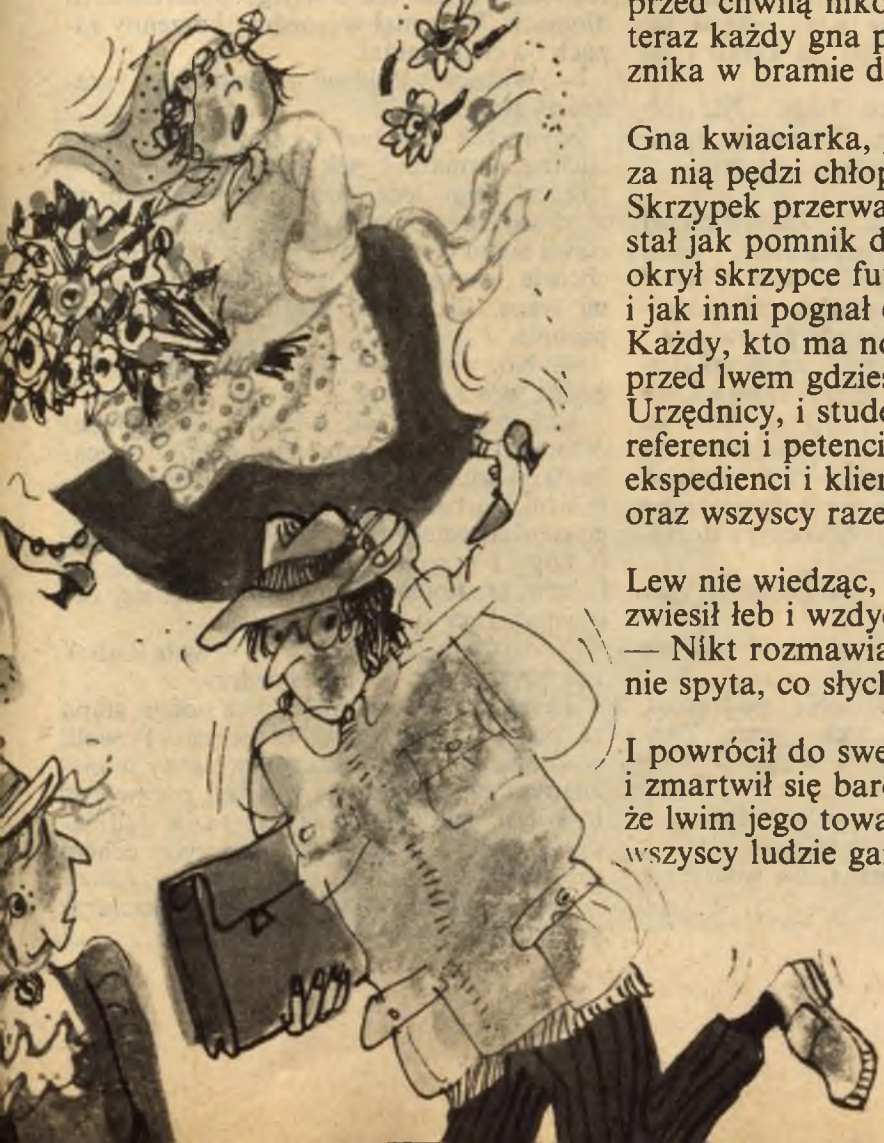

Jeszcze tu się nie spieszyło
przed chwilą nikomu,
teraz każdy gna przed siebie,
znika w bramie domu.

Gna kwiaciarka, gubiąc kwiaty,
za nią pędzi chłop wąsaty.
Skrzypek przerwał grę w pół nuty,
stał jak pomnik dwie minuty,
okrył skrzypce futerałem
i jak inni pognał cwałem.
Każdy, kto ma nogi dwie,
przed lwem gdzieś się ukryć chce.
Urzędnicy, i studenci,
referenci i petenci,
ekspedienci i klienci
oraz wszyscy razem wzięci.

Lew nie wiedząc, co się dzieje,
zwiesił łeb i wzdycha:
— Nikt rozmawiać ze mną nie chce,
nie spyta, co słychać!?...

I powrócił do swej klatki,
i zmartwił się bardzo,
że lwim jego towarzystwem
wszyscy ludzie gardzą.

Tadeusz Śliwiak
Rys. Anna Kołakowska

Zapach siana

Łysek za nic w świecie nie chciał wejść do windy. Czerniała przed nim groźnym rusztowaniem sztab żelaznych i dlatego bał się ogromnie.

— No, spróbujcie jeszcze raz! — zachęcał sztygar Konderla swoich ludzi. — Nie krzyczcie na niego, nie bijcie!

— Dyć my z nim jak z malowanym jajkiem — mruknął niechętnie zezowaty Bortliczek. Trzymał bezradnie konia za wędzidło, sapał z utrudzenia i raz wraz ocierał się z potu. Potem poklepał go po karku i jął dobrotliwie przemawiać:

— No, pódź, koniczku, pódź... Nie rób głupoty! — Widzisz, pódź... Nie bój się, nic ci nie zrobimy! — i jął go znowu ciągnąć do windy.

Lecz Łysek lękał się windy. Znowu zaczął się szarpać na wędzidłowej uwięzi, rzucał głową, chrapał groźnie, a kopytami zapierał się w żelazną podłogę. Oczy jego zaś, zazwyczaj łagodne i mądre, wyrażały przerażenie.

— No, pódźże, faronie! — wrzasnął rozzłoszczony Bortliczek. — A wy, kamraci, nie stójcie, ale pomóżcie! — i szarpnął mocno za uzdę. Łysek rzucił się gwałtownie. Podkute kopyta uśliznęły się po wyświechtanej płycie żelaznej, zazgrzytały i koń zwalił się ciężko na bok. Odskoczyli górnicy, odskoczył i Bortliczek, ale nie puścił wędzidła.

— Podeprzeć z boku! — krzyknął sztygar Konderla.

Podparły konia liczne dłonie i jęły się mocować z jego ciężarem.

Koń zaś zbierał się w sobie, podrzucał, kurczył nogi i szukał dla nich oparcia. Znalazł!... Gwałtownym wysiłkiem dźwignął się i stanął.

Otoczyli go ludzie i patrzyli, jak dygoce.

— Boi się! — rzekł chudy Gągór.

— Nie pójdzie, psiowełna, do windy! — dodał inny.

— Co z nim zrobimy?

Zafrasowali się wszyscy, a sztygar Konderla miesił tytoń w ustach i spluwał ze złości.

— Już wiem! — powiedział zezowaty Bortliczek. — Zawiążemy mu oczy i siano przystawimy do pyska. To pójdzie!...

— Dobrze radzicie! — uradował się Konderla. — Więc skoczcie jeden po trochę siana, a drugi po jakąś szmatę. Ale już!

Skoczyli i przynieśli. Szmata była brudna i cuchnąca smołą, siano zaś pachniało dalekimi łąkami i słońcem. Spojrzał Łysek na Kuboka i ujrzał siano w jego umorusanych dłoniach. Wciągnął w nozdrza korzenny zapach i z cicha zarżał.

— Widzicie? Pójdzie! — zauważył z radością Bortliczek.

Szymiczek zawiązał Łyskowi oczy tamtą cuchnącą szmatą. Łysek z początku bronił się i rzucał łbem, lecz górnicy przytrzymali go w twardych dłoniach. Potem Kubok przystawił siano do jego pyska. Łysek wyciągnął chciwie głowę. Nie może dostać wargami siana. Lecz siano pachnie, tak bardzo pachnie.

— No, wio, koniczku! — zachęcił go łagodny głos Kuboka.

Koń postąpił krok. Siano wciąż pachnie. A tamten ciepły, łagodny głos wciąż zachęca. Postąpił drugi krok, potem trzeci i następny... Powoli, ostrożnie jak ślepiec. Z boków wiodły go ciepłe dłonie, z lekka popychały. Zadudniły kopyta w windzie, zahuczały pustym, żelaznym grzmotem. Łysek wzdrygnął się, zatrzymał. Lecz siano nęci i nęci.

— No, wio, koniczku, wio! — woła Kubok i przytyka siano do jego nozdrzy.

Łysek chwilkę się waha, lecz potem stąpa za tamtym słonecznym zapachem. Powoli, ostrożnie jak górnik idący bez lampy w nieznanym ganku. Kopyta wybijają poczwórny łoskot, a łoskot zamienia się teraz w dudniący grzmot i przewala zmierzwionym echem w szybie.

— No, chwała Bogu! — westchnął szczerze sztygar Konderla.

Z drugiej strony windy wyszedł Kubok, Łysek zaś stoi w windzie i wciąż wyciąga łeb za sianem.

— Dajcie mu już to siano, a wy drudzy prędko założyć kraty! — rzucił twardo sztygar. — Wy, Kubok, zostaniecie w windzie przy Łysku. Trzymajcie go za uzdę mocno, lampę powieście sobie na pasku, a siano dajcie mu zjeść. Pod szybem wyprowadźcie go, odwiążcie oczy i zaczekajcie na nas.

Chrzęści suche siano w pysku Łyska, szczękają zakładane kraty, a Kubok truchleje na myśl, że Łysek może się płoszyć w windzie, kiedy polecą pod ziemię. Trzyma więc mocno Łyska za wędzidło i przyrzeka sobie, że w szybie będzie jeszcze mocniej trzymać.

Zakrzyczał dzwonek trzykrotnie, winda zadygotała i runęła w studnię. Łysek szarpnął się w pierwszej chwili, lecz potem już stał spokojnie i jadł siano z Kubokowej dłoni. A Kubok szeptał pacierze.

Westchnął z ulgą, kiedy winda stanęła w obrębie gromnicznych świateł podszybia. Górnicy w podszybiu otworzyli windę i pomogli Kubokowi wyprowadzić z niej Łyska. Łysek przez chwilę wciągał w nozdrza zapach kopalni, potem pogrzebał kopytem, a kiedy Kubok zdjął mu z oczu szmatę, obejrzał się zdziwiony.

— Dziwejcie się! — zauważył jeden z górników. — Oglądo się, nie przymierzając jak człowiek.

— Piękny koniczek! Szkoda go do kopalni! — rzekł drugi i poklepał Łyska po karku.

— On tu albo oślepnie, albo też niezadługo zdechnie. A szkoda by go było.

— A pewnie! Koń długo nie wytrzyma w kopalni. To nie jest człowiek...

— Tak, tak!... Człowiek wytrzyma, ale koń ni!

— A na cóż tu koń potrzebny pod ziemią, kiedy na wszystkich przekopach lokomotywki ciągną wózki?

— On przeznaczony do pokładu Idy — wyjaśnił Kubok.

Koń tymczasem patrzał po ludziach swymi mądrymi, łagodnymi oczami i dziwił się, rżąc leciuchno.

W pokładzie Idy

Łysek był bardzo pojętny. Wszyscy górnicy dziwili się, cmokali z zachwytu i w dłonie

klaskali, a najbardziej się dziwił, cmokał i w dłonie klaskał krzywy Kubok.

— Wiecie, ludzie! — mawiał pod szybem, kiedy czekało się na windę po szychcie. — Wiecie, ludzie złoci, ale takiego konia jeszcze nie widziałem w życiu!

I szeroko opowiadał, jaki on zmyślny i mądry, sprytny i oswojony, popierał swoje wywody przykładami, przytaczał ich całe mnóstwo, a kamraci słuchali, żuli powoli tytoń i coraz któryś z nich głową kiwał i głośno przytakiwał Kubokowi.

Cała załoga kopalni „Gwido" o niczym teraz nie rozprawiała, jak o koniu Łysku, który w pokładzie Idy ciągnie za sobą wagoniki z węglem, a po szychcie odpoczywa w sklepionej stajni, wykutej w caliźnie piaskowca pod pochylnią. Komu było bliżej, zachodził do niego, nie żałując trudu. Trzeba było bowiem schodzić długą pochylnią do upadu, a pochylnia była niska i stroma. Nie żałowali jednak trudu, bo warto było popatrzeć na Łyska.

Stawali gromadą w drzwiach sklepionej niszy, podnosili lampy i patrzyli. A Łysek oglądał się na nich, mrużąc swoje duże, łagodne i mądre oczy i rżał. Wtedy podchodzili do niego i klepali go umorusanymi dłońmi po grzbiecie lub po karku, cmokali na niego, przemawiali dobrotliwie, a jeżeli komuś kawałek chleba nadbyło, wtykali mu do pyska i radowali się głośno, kiedy Łysek brał tamto darowisko ludzkie w miękkie wargi i miesił je na papkę w żółtych zębskach.

Z czasem utarł się już taki zwyczaj, że stale, co dnia, przynoszono mu chleb i cukier i raczono go szczodrze.

Łysek zaś uważał, że tak być powinno. Kiedy posłyszał w drzwiach stajni ludzkie głosy i kiedy światełka górniczych lampek zapełgały koło niego, wyciągał szyję i domagał się daniny. Górnicy nauczyli go, żeby sięgał po chleb i cukier do kieszeni. Zaśmiewali się z radością jak dzieci, kiedy Łysek patrzał chwilę po próżnych dłoniach górników, a potem jął każdego obwąchiwać i wtykać łeb do kieszeni. Jeżeli nic w niej nie znalazł, parskał niezadowolony i bił się ogonem po nogach. Lecz nie ustawał w szukaniu. Tak długo obwąchiwał marynarki i tak długo wtykał łeb w ich fałdy, aż w końcu wyciągał pajdę smakowitego chleba lub kęs umorusanego cukru.

Górnicy radowali się jego obecnością w podziemiu jak kimś ogromnie bliskim. W kopalni „Gwido" nie posługiwano się końmi od kilku lat. Pracę ich spełniały płaskie, krępe lokomotywki elektryczne, goniące z krzykiem po długim przekopie i wlokące za sobą nieprzejrzane szeregi pospinanych wagoników. Wagoniki terkotały starym żelaziwem, szczękały łańcuchami, gruchotały spiętrzonym łoskotem, na przedzie zaś gnała lokomotywka z jednym wytrzeszczonym światłem, podobna do niesamowitego smoka o jednym wybałuszonym oku. Ludzie usuwali się pod ściany, ona zaś jazgotała zardzewiałym dzwonkiem i gnała przed siebie na oślep, a za nią pędziły wagoniki na złamanie karku.

— Jakby taka bestia człowieka dopadła, to życie wydusi na amen! — mawiali i spluwali za nią niechętnie.

Górnicy nie lubili lokomotywek, chociaż spełniały pracę za kilkadziesiąt koni.

— I tak więcej nie zarobimy przy tych potworach — mawiali. — A nawet mniej niż wtedy, kiedy konie ciągnęły wagoniki pod szyb.

Często wspominali tamte chwile, kiedy po przekopie wędrowały różne Fuksy, Boski, Siwki i Kasztany, wlokące za sobą z wysiłkiem różaniec wagoników z węglem. Żal im było tamtych koni, bo z czasem wszystkie ślepły, a wywiezione na powierzchnię dogorywały na łaskawym chlebie. Lecz w ich towarzystwie czuli się innymi ludźmi. Nie wyrzekali na swą ciężką dolę, nie zżymali się na nią. Dlaczego tak było — nie wiedzieli. Wiedzieli tylko, że im dobrze z nimi. Zdawało się każdemu, że to istoty tak samo cierpiące jak oni sami. Uważali je za swoich przyjaciół, którzy umieją patrzeć na człowieka jak ktoś, kto posiada czujące serce.

Obecnie Łysek stał się się znowu takim samym przyjacielem. Spokojny on, cichy, lecz wierny i współczujący. Dzieli wraz z nimi wspólną dolę. Co więcej — jemu gorzej się wiedzie, bo stale przebywa w kopalni, skazany na ciemność aż do śmierci. Po kilku latach tak samo straci wzrok jak wszyscy jego poprzednicy. Tyle tylko ma dzisiaj światła koło siebie, co ta skąpa lampka górnicza ciasny krąg w mrokach rozjaśni. A potem, kiedy wszyscy ludzie wyjdą na powierzchnię, on stoi w zestokrotnionej nocy i przypomina sobie widziane kiedyś słońce i łąki. Wtedy może jego serce ściska się z bólu. Bo chyba taki Łysek ma serce?... Pewnie, że ma. Musi mieć!... On ma takie serce jak człowiek, tak samo umie się ono radować i tak samo cierpieć jak ludzkie serce.

Tak myśleli wszyscy górnicy, chociaż nigdy o tym nie mówili. Mówił tylko o tym krzywy Kubok, którego sztygar Konderla przydzielił do Łyska. Łysek pracował w pokładzie Idy. Ludzie zaś pracowali w nim bardzo daleko od pochylni, która wychodziła na przekop, a przekop prowadził już pod szyb, szyb zaś — na powierzchnię, do słońca. Blisko godzinę trzeba było wędrować ciasnym gankiem od

NASZE LEKTURY

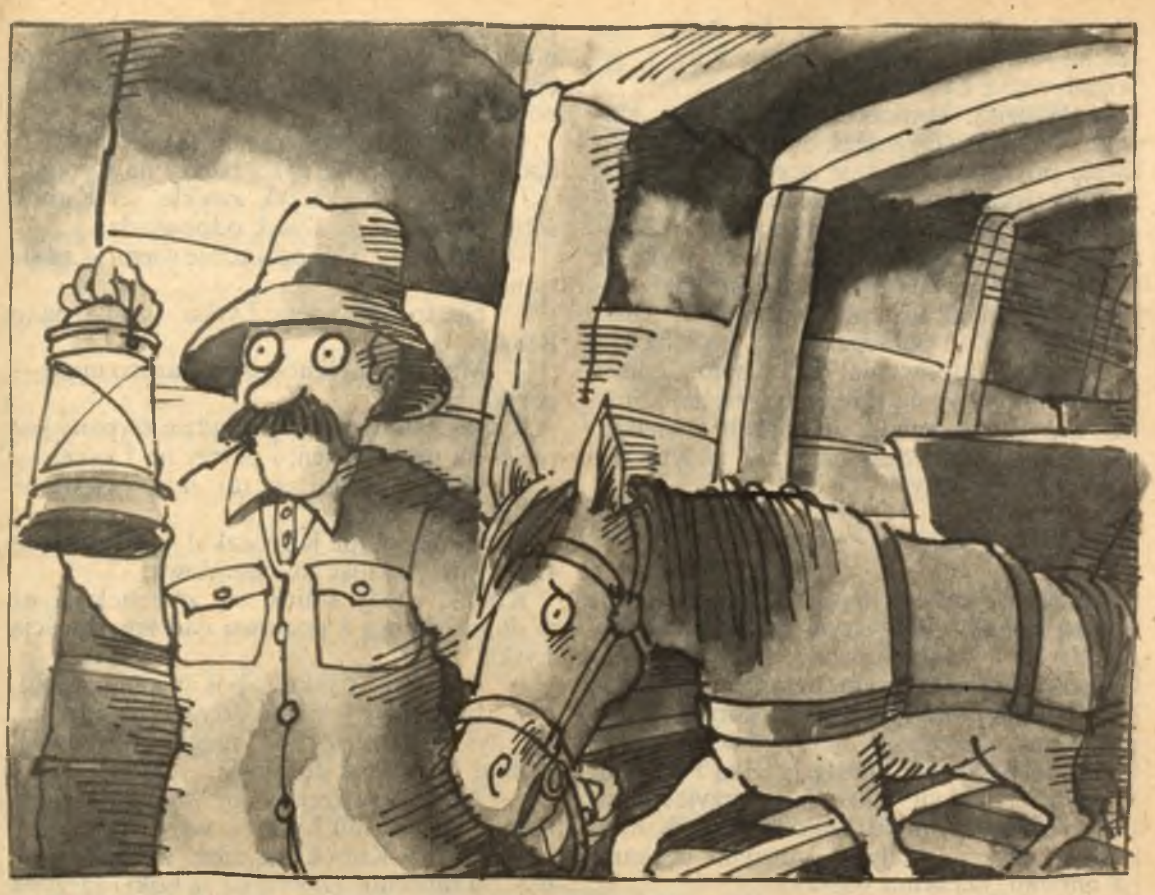

przekopu do przodku, gdzie rąbano węgiel. Na lokomotywę nie było w nim miejsca. Pracę za nią musiał wykonywać Łysek. Zaprzęgał go Kubok do dwunastu wagoników w przodku, zawołał: — Wio! — i Łysek wędrował z ładunkiem po krętym, ciasnym, dusznym ganku. Aż do pochylni. Pod pochylnią spoczął na chwilę, dopóki Kubok nie zaprzągł go do dwunastu próżnych wagoników. Potem wracał z nimi do przodku. I tak przez całą szychtę. Od godziny siódmej rano do drugiej po południu. Na drugi tydzień zaś od godziny trzeciej po południu aż do dziesiątej w nocy.

Łysek był bardzo pojętny. Rychło zrozumiał, kiedy mu wypada głowę schylić pod złamaną stropnicą w ciasnym ganku, by w nią nie uderzyć czołem; wiedział, kiedy przystanąć lub usunąć się pod ścianę; jak podnosić nogi, by się nie potknąć na torze; a przede wszystkim wiedział, kiedy Kubok pragnie go oszukać. Łysek nie pozwolił się oszukać. Jeżeli Kubok zamiast dwunastu wagoników spiął trzynaście, wtedy wystarczyło, że Łysek pociągnął mocno. I zaraz zrozumiał, że Kubok o jeden wagonik za dużo przyczepił. Wówczas nie chciał ciągnąć. Choćby go nawet biciem zmuszać. Uparł się i nie pojechał.

Kubok rad nierad musiał jeden wagonik odczepić, a wtedy dopiero Łysek zapierał się nogami w pył między szynami i ciągnął swój ciężar po pochylni. Na przedzie szedł krzywy Kubok, w prawej dłoni kolebał z lekka światłem, lewą dłonią zaś trzymał za uzdę przy pysku. Pół kroku za nim szedł ciężko Łysek, kolebiący się za każdym stąpnięciem, a za Łyskiem klekotały wagoniki, zbyrczały łańcuchami, dzwoniły tępo i kwiczały nie nasmarowanymi kółkami. Mniej więcej w środku drogi poziom ganku był nieznacznie nachylony. Wtedy Kubok musiał imać sękaty kół, zawczasu już przygotowany pod ścianą, wkładał go między koła pierwszego wagonika i hamował napór reszty wagoników. Gdyby tego nie uczynił, wagoniki potoczyłyby się wartko za Łyskiem, najechałyby na jego tylne nogi i połamałyby je w okamgnieniu.

Po drodze nie odzywał się Kubok do Łyska. Cmokał tylko i od czasu do czasu poklepywał go lewą dłonią po czole. Łysek zaś dyszał utrudzony, a ciemny pot rozszerzał mu się po grzbiecie i kłębach wielkimi plamami. Napotykani górnicy usuwali się pod ścianę i witali Łyska dobrym słowem. Jeżeli zaś napotkali idącego sztygara, Kubok zatrzymywał

wagoniki, bo sztygar miał dla Łyska kęs chleba. Pod pochylnią dopiero Kubok jął pogadywać z Łyskiem.

— Widzisz, koniczku, widzisz... — mawiał. — Dobrze ciągnąłeś, bardzo dobrze! Za to cię po szychcie ładnie oczyszczę, obmyję z prochu, dobrego siana przedłożę. Poje se koniczek mój, poje... A potem spocznie se koniczek, hej, ale spocznie! Ciepluśko będziesz miał w stajni... cichuśko będziesz miał, będziesz se spał jak król pod pierzyną. Widzisz, koniczku!... — i poklepał Łyska po karku.

Łysek zaś odpowiadał mu cichym rżeniem i kładł mu głowę na ramieniu, grzebał kopytem w pyle, ogonem bił po nogach, a wielkie, mądre i łagodne oczy patrzyły w Kuboka jakby ludzkie oczy.

Przyjaciele

Łysek miał dwóch największych przyjaciół w całej kopalni. Pierwszym był Kubok, drugim była — duża, tłusta mysz, co miała legowisko za złamanym stemplem pod żłobem w stajni. Poza tym wszyscy górnicy — nie wyłączając nawet pana inżyniera w okularach i pana inspektora z czarną bródką i wielkim brzuchem — byli także jego przyjaciółmi. Lecz największymi to tylko krzywy Kubok i tłusta mysz z małymi czarnymi oczkami i z długimi, rzadkimi wąsikami.

Łysek widział dobrze i mysz, i Kuboka. Pod stropem pełgała lampka górnicza, więc można było wszystko widzieć. I jak długo tam wisi, trzeba wszystko dokładnie obejrzeć. Bo Kubok potem zdejmie lampę i odejdzie, a wtedy ciemność stanie wokoło i wszystko przepadnie. Zostanie tylko zapach dobrego człowieka i pękata wiązka siana za drabkami, w żłobie zaś sporo suchego owsa, którym trzeba się będzie z myszą dzielić, w drugim żłobie zaś niedobra woda, cuchnąca zardzewiałym żelazem.

Krzywy Kubok kusztyka w stajni, gruchocze butami na kamiennej podłodze, mruczy bez przerwy. Łysek zaś patrzy na niego i strzyże uszami. Kubok napuszcza wodę z krzywej rury do żłobu, sypie szeleszczący owies do drugiego żłobu, wpycha siano za drabinkę, a teraz wyciera umorusaną sierść Łyska wilgotnym wiechciem, oblewa jego grzbiet wodą, szoruje słomą, potem mówi: — Z Bogiem, Łysku!... — zabiera lampę i odchodzi. Wtedy ciemność spada na oczy Łyskowe i nic już nie widzi. Lecz Łysek ma w oczach obraz wnętrza swojej stajni i dobrze wie, gdzie szukać wody, a gdzie siana lub owsa.

Czasem obydwaj, Łysek i Kubok, przypatrują się myszy. Mysz wierci się pod ich spojrzeniami, biega niespokojnie, przystanie znienacka, spojrzy na nich i udaje, że się ich nie boi. Wtedy Kubok śmieje się cicho i znowu coś mruczy dobrotliwie, a Łysek parska na nią pobłażliwie.

— Skąd się tu mogła wziąć ta beskurcja? — dziwi się głośno Kubok i patrzy na Łyska.

Łysek zaś parska jak zwykle, co Kubok sobie tłumaczy, że Łysek odpowiada:

— Nie wiem, Kuboczku, nie wiem, skąd się tu nabrała.

— No, to mało wiesz, Łysku — mówi na to Kubok.

— Mało wiem, Kuboczku, bardzo mało — parska Łysek.

Kubok siada na skrzyni, gdzie zsypany jest owies na cały tydzień, i patrzy na Łyska.

— Głupiś, Łysku, że tak mało wiesz! — powiada w końcu.

— Tyś też głupi, Kuboczku! — odpowiada Łysek, przytakując mocno głową.

Kubok wtedy śmieje się znienacka i aż w dłonie plaska z podziwu nad zmyślnością Łyska.

— Przebacz, Łysku... boś ty mądry! Ho, ho!... tyś mądry jak sam sztygar Konderla... ba, tyś mądrzejszy od niego! Naprawdę, Łysku! — i wciąż się śmieje.

— A tyś mądrzejszy niż sam pan inżynier — parska mu Łysek w odpowiedzi.

Wtedy już Kubok nie może się powstrzymać od śmiechu. Trzyma się za boki i zaczyna rechotać z radości, że Łysek taki zmyślny i wszystko rozumie. Kiwa się na skrzyni, w której żółci się owies, a skrzynia skrzypi zdziwiona, co się to dzieje z Kubokiem. Długo się tak Kubok zaśmiewa. Wtedy Łysek odwraca głowę, patrzy na Kuboka i zaczyna się także śmiać po swojemu. Rży przeciągle, odsłania żółte zębiska, a nogą grzebie w trocinach. Przestraszona mysz toczy się wtedy szybko, szybciuchno na krótkich, krzywych nóżkach, śpieszy się ogromnie i wpycha z trudem w wąską szczelinę, co się czerni między żłobem a złamanym stemplem.

Kiedy indziej znowu mysz nie chroniła się do swego legowiska, lecz siadała na brzeżku żłobu i gryzła ziarenka owsa. Była podobna do maleńkiej, szarej wiewiórki. Bo — podobnie jak wiewiórka — trzymała w przednich łapkach ziarno i chrupała je drobnymi, ostrymi ząbkami.

Łysek i Kubok znowu jej się przypatrywali. Przez chwilę milczeli obydwaj, a potem Kubok nie wytrzymał:

— Widzisz, Łysek? — zaczął. — Widzisz, jak się na naszym owsie pasie?

Łysek kiwnął głową na znak, że widzi.

— Oh, jaka już tłusta! Nie przymierzając jak ten mój wieprzek w chlewiku. Widzisz?

— Widzę! — kiwnął głową Łysek.

— No, ale to też stworzenie boskie. Nie godzi się jej zabijać. No, nie?

— Yhy! — dmuchnął Łysek przez nozdrza przytakująco.

— Bo to może być duch Skarbnika. Wiesz, Łysku, co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem, że ja tam w duchy nie wierzę, ale czasem taki duch Skarbnik może się zamienić w mysz!... Ho, ho! Ja wiem!

— Nie plećcie, Kuboczku, ni!... — parsknął Łysek i z lekka się roześmiał.

— Eh, co ty wiesz! — obruszył się Kubok, niezadowolony z Łyska, że mysz spłoszył. Bo kiedy Łysek parsknął, mysz przycupnęła przestraszona, a potem potoczyła się do kryjówki.

Przyszedł raz sam pan inspektor z dużymi okularami na nosie. Wszedł znienacka i chwilę słuchał Kuboka rozmawiającego z koniem.

— Cóż tyle mruczycie, Kuboku? — zapytał ciekawie.

Stropił się Kubok, że go ktoś obcy zastał na pogawędce z Łyskiem, chrząknął kilka razy, a potem rzekł wymijająco:

— Ale nic, pięknie proszę, panie inspektorze... Ale to tak... Człowiek tu jest sam z tym koniem... A człowiekowi wydaje się, że koń to także stworzenie boskie, co wszystko rozumie, więc tak z nudów z nim rozmawia... To samotność temu winna...

— No, wiem, wiem... Ja bym może to samo czynił! — rzekł łaskawie inspektor i poklepał Łyska po karku.

— A jak Łysek? Zdrowy?... Dajecie mu porządnie jeść? — zapytał znowu i jął go oświecać błyszczącą lampą. Obejrzał mu nogi, a na nogach pęcice, obejrzał grzbiet i boki, pogładził pańską dłonią, potem zajrzał mu na zęby, a w końcu podniósł lampę i patrzył w jego mądre, łagodne oczy.

— No, jeszcze bystre! — rzekł do siebie z ulgą. — Kuboku...

— Co, proszę, panie inspektorze?

— Jeżeli zauważycie, że oczy Łyskowe mętnieją, że stają się jakby kalne... zameldujcie panu inżynierowi... Albo lepiej mnie. Zrozumieliście?

— Zrozumiałem, pięknie proszę, panie inspektor.

— Szczęść Boże! — rzekł jeszcze wyniośle i poszedł.

Przyszli raz górnicy i zastali również Kuboka, jak kłócił się z Łyskiem.

— Trąba jedna! — zżymał się Kubok, oglądający Łyskowe kopyta. — Nie uważasz, kopiesz tymi kopyciskami po szynach, łazisz

gdzieś po ostrych kamieniach! O!... Jakie już masz zniszczone! Nie możesz to uważać na siebie?

— Kiedy ciemno... — uniewinniał się Łysek.

— A czy ci nie świecę, co?... Ty trąbo stomiliońska jedna, ty!...

— Cóż się tak wadzicie, Kuboku, z naszym Łyskiem? — odezwał się za nim czyjś głos, a w te pędy gruchnął szeroki, mnogi śmiech.

Kubok nie miał czasu odpowiedzieć, bo górnicy wepchali się do ciasnej stajni i jęli przymilać się Łyskowi. Jeden podtykał mu pod pysk kęs chleba, drugi już czekał z kęsem brudnego cukru na dłoni, inni zaś głaskali go po karku, szarpali z lekka za grzywę, plaskali dłonią po zadzie, a wszyscy mówili i radowali mu się pospólnie.

Kubok nie był zbytnio rad tym odwiedzinom, gdyż lękał się, że Łysek przywiąże się bardziej do górników aniżeli do niego. Po prostu zazdrosny był o niego. Dotychczas on sam znosił mu najwięcej chleba. Nie tylko, że dzielił się z nim własnym chlebem, lecz zachodził jeszcze do pana inżyniera i od służącej Dorotki starał się wycyganić te resztki chleba, które były dla kur i gęsi przeznaczone.

— Popatrz się, Dorotko! — mawiał do dziewczyny, stojąc za płotem. — Kury i gęsi inżyniera mają dosyć czego innego do jedzenia, a Łysek stoi tam w pokładzie Idy... nigdy tego bożego słoneczka nie widzi... niedługo oślepnie... widzisz, Dorotko! Dyć mu daj tego chleba!

Dorotka miała dobre serce dziewczyńskie. Nie lękała się pani inżynierowej, bo ona też miała dobre serce i chętnie wydzielała — za przymową Dorotki — kęsy chleba dla Kubokowego Łyska. Dorotka przynosiła więc w fartuchu sporo kawałków chleba i przez sztachety podawała Kubokowi.

Potem Kubok mógł raczyć Łyska przez kilka dni. A Łysek pojadał tylko, oblizywał się, wąchał dłonie Kubokowe i kładł mu głowę na ramieniu.

Mysz również otrzymywała swoją drobniutką część. Ułomił Kubok drobny kawałek, podrobił w palcach i rozsypał kruszyny na wystającym kamieniu przy żłobie. Mysz jadła, a Kubok z Łyskiem patrzyli ciekawie i pośmiewali się trochę, każdy po swojemu.

A kiedy już Kubok zdjął lampę spod stropu i poszedł, a ciemność spłynęła na oczy zwierząt w stajni, nastawała wielka cisza. Łysek słuchał jej drobniuchnego, jękliwego tonu i wzdychał za słońcem, którego już dawno, dawno nie widział. Pod jego głową zaś szeleściła mysz łapkami i ogonkiem, chrupała ziarenka owsa, biegała po brzegu żłobu i słuchała Łyskowego wzdychania. Nie bała się, tylko słuchała. A Łysek też się nie bał, tylko słuchał żucia myszy, tak bardzo podobnego do szeptu wysokich traw, kiedy w nich ciepły wiatr błądzi.

Mętne oczy

Łysek mądrzał z dniem każdym. Nie minął rok, a już wszystko wiedział, co powinien wiedzieć koń w kopalni. Poznawał Kuboka z daleka. Kubok jeszcze był na pochylni, a Łysek już na niego wołał. Rżał radośnie i grzebał kopytami. A kiedy Kubok wchodził do stajni, Łysek odwracał głowę i patrzył na niego. Obwąchał go najpierw dokładnie, wsadzał mu łeb pod marynarkę i szukał chleba. A gdy go znalazł, ujmował w żółte zębska połę Kubokowej marynarki i szarpnął. A jeżeli i to nie pomagało, zdzierał Kubokowi kapelusz z głowy i tak długo trzymał w zębach, dopóki Kubok nie wykupił się chlebem. Nie było innej rady — chleb musiał być.

Górnicy nadal odwiedzali Łyska w stajni lub pod pochylnią i również częstowali go chlebem lub cukrem. Nikomu jednak nie kładł on głowy na ramię, tylko Kubokowi.

Łysek umiał mścić swoją krzywdę. Przyszedł zezowaty Bortliczek pod pochylnię i wraz z innymi górnikami słuchał przechwałek Kuboka o jego przyjaźni z Łyskiem. W pewnej chwili strzeliła do Bortliczkowej głowy płocha myśl. Wyjął z ust rozpaprany zwitek tytoniu, co go był żuł ze smakiem, włożył między dwa kawałki chleba i podał Łyskowi.

Łysek wziął w zęby, jak zwykle, i jął miesić. W tej samej chwili jednak skrzywił się, odsłonił wargi i zaczął wypluwać chleb z tytoniem. Potrząsał głową, przymykał oczy, parskał i szeroko otwierał pysk, nie mogąc się pozbyć tytoniowej goryczy na języku. Bortliczek zaśmiewał się do łez i prał dłońmi po udach z wielkiego ukontentowania. Inni górnicy również się trochę śmiali, lecz kiedy oburzony Kubok stanął w obronie Łyska i jął ostrymi słowy wymyślać Bortliczkowi, reszta górników także zaczęła mu wymyślać. Zawstydzony Bortliczek wyniósł się chyłkiem.

Nazajutrz znów przyszedł. Widać tknęło go sumienie i wyrządzone zło chciał naprawić.

— Tylko się nie ośmielajcie do niego podejść! — ostrzegał go Kubok, patrzący na niego spode łba.

— Hale, dyć to głupi koń! Nic mi nie zrobi! — śmiał się Bortliczek. — A zresztą dyć mu chcę dać chleba... Popatrzcie się, Kuboku, że to dobry chleb! — i pokazał na dłoni duży kęs razowca.

Podszedł z nim do Łyska. Łysek obejrzał się. I zanim Bortliczek miał czas odskoczyć, chwycił go zębcami za ramię i szarpnął.

NASZE LEKTURY

— Jezus!... — krzyknął Bortliczek i zwalił się na podłogę. Rzucił się Kubok, uchwycił Łyska za grzywę, zasłonił Bortliczka. A Bortliczek zerwał się szybko z podłogi i pobiegł do drzwi. Trzymał się za ramię i ciężko pieronował.

— Widzicie, a mówiłem! — rzekł Kubok z wyraźnym zadowoleniem w głosie.

— Pierona zabiję! — wrzasnął zły Bortliczek, porwał z kąta kawał szyny i zamierzył się na Łyska.

Skoczył do niego Kubok i jął się z nim mocować, pragnąc mu wydrzeć szynę. Łysek zaś szarpał się gwałtownie na łańcuchu, rżał groźnie i tylnymi kopytami usiłował dosięgnąć Bortliczka. Na szczęście przybiegł sztygar Konderla, co pod pochylnią siedział, i wygonił z krzykiem Bortliczka. A kiedy Bortliczek wracał pod szyb i trzymał się za okrwawione ramię, miotając przekleństwa, Kubok głaskał drżącego Łyska i uciszał go łagodnymi słowy.

Odtąd już nikt nie ośmielił się uczynić krzywdy Łyskowi. On jednak nie dowierzał górnikom i z nieufnością patrzył na wyciągniętą do niego dłoń z chlebem. Brał z niej chleb, ale jakby z rozwagą i ostrożnie. Za to jeszcze bardziej przylgnął do Kuboka. Co się do niego Kubok odezwał, to on chrapał lub rżał przymilnie. Czyniło to wrażenie, że rozumie ludzką mowę i odpowiada na nią w swoim języku.

Znał już na pamięć swoją drogę w pokładzie Idy. Kiedy dojeżdżał z wagonikami w tamto miejsce, gdzie poziom obniżał się z lekka do upadu i gdzie Kubok wtykał sękaty kół między koła pierwszego wagonika — przystawał i czekał. A dwa razy pojechał od pochylni do przodku z próżnymi wagonikami, nie czekając na Kuboka. Po ciemku jechał. Z czasem nie trzeba go było wcale prowadzić za uzdę. Kubok kusztykał za ostatnim wagonikiem, a Łysek wiedział dobrze, co mu czynić wypada. Uchylał głowy pod załamanymi stropnicami, zwalniał w miejscach, gdzie wagoniki zwykły wyskakiwać z kolein, a w przodku lub pod pochylnią bez Kubokowego rozkazu stawał na przedzie nowego pociągu i czekał.

Kubok co dnia oglądał jego oczy. I pewnego dnia skurczyło mu się czułe serce boleśnie. Poszedł do pana inspektora i powiedział:

— Pięknie proszę, panie inspektorze, bo mnie się zdaje, że Łysek ślepnie.

— Ślepnie?

— Jako prawiem! Ślepnie. Tak mi się wydaje. Już też dobrze nie widzę, ale tak mi się zdaje, że jego oczy są już trochę kalne.

— Przyjdę się dzisiaj popatrzeć — powiedział inspektor.

Przyszedł ku końcowi szychty i oświecił Łyskowe oczy. Łysek już ich nie nakrywał powiekami, kiedy światło ślizgało się po jego źrenicach. Inspektor dojrzał, że powleczone są leciuchną mgiełką, że już tak nie błyszczą jak ongiś.

— No i co, pięknie proszę, panie inspektor? — zapytał trwożliwie Kubok.

— Tak, miel[illegible]ie słuszność. Łysek już ślepnie. Ale poczek[illegible]ycie... — i zamyślił się.

— A może by go tak wywieźć na powierzchnię? — rzekł nieśmiało Kubok.

— Właśnie o tym myślę... Ale kiedy? — Wyjął kalendarz z notesem i zaczął palcem wodzić po literkach.

Kubok czekał i patrzył w oczy pana inspektora. Łysek zaś oparł głowę na Kubokowym ramieniu i także czekał.

— Za sześć tygodni mamy trzy święta. Będzie świętówka i Zielone Święta. Wtedy go wywieziemy na powierzchnię — rzekł w końcu inspektor.

— A potem?

— A potem... potem Łysek wróci do kopalni — powiedział twardo i wyszedł.

Kubok długo jeszcze stał obok Łyska i głaskał jego łeb.

Zmartwienie

Okazało się, że Łyska nie można wywieźć na powierzchnię.

Z głównego chodnika w pokładzie Idy, gdzie Łysek pracował, prowadziło tylko jedno wyjście na przekop i pod szyb. Wyjściem tym była pochylnia, długa i stroma. Pod naciskiem górnych warstw calizny strop jej w ostatnich czasach obniżył się znacznie, tak bardzo, że Łysek nie potrafiłby już podejść.

Kubok nieraz przyglądał się powale w pochylni, medytował głęboko, lękał się i niepokoił. Wciąż jednak liczył, że Łysek przejdzie. Chociaż z trudem, ale przejdzie. Grzbiet i kark poobdziera sobie boleśnie na złamanych stropnicach, gdy się będzie przeciskał pod obwisłym stropem, ale i na to znajdzie się rada. Owinie grzbiet i kark Łyska grubą derką i wszystko będzie dobrze.

Na kilka dni przed świętami, kiedy już górnicy odeszli pod szyb, ujął Łyska za uzdę i poprowadził w górę pochylni. Uszedł zaledwie kilka kroków, Łysek stanął przed zaporą. Grube, spękane i połamane stropnice nie chciały go przepuścić. Kubok zachęcał konia, przemawiał mu do rozumu, tłumaczył dobrotliwie, że powinien się jeszcze mocniej schylić, w kolanach lekko ugiąć, pokazywał mu na swoich kolanach, jak to ma uczynić, lecz Łysek tylko rżał, zapierał się karkiem i grzbietem w stropnice i łypał niespokojnie wystraszonymi oczyma.

— No, Łyseczku... ugnij się w kolanach! Niewiele! Troszkę tylko! Zobaczysz, że się zmieścisz... — dogadywał zatroskany Kubok.

Lecz Łysek nie umiał człapać o zgiętych kolanach.

Kubok powiódł więc teraz konia do stajni i ciężko się zmartwił. Na powierzchni poszedł do inspektora i wszystko mu powiedział.

Nazajutrz przyszedł inspektor, obejrzał pochylnię i przekonał się, że Łysek istotnie nie przejdzie.

— Wagoniki podjadą, ludzie przejdą, bo się mogą schylić, ale Łysek nie przejdzie. Chyba będzie tu musiał zostać — powiedział.

— Jak to, pięknie proszę, panie inspektor? To Łysek nigdy nie będzie wyprowadzony na powierzchnię? — zapytał Kubok.

Inspektor nic nie powiedział. Przez chwilę patrzył na Łyska, poklepał go po pysku i zamyślił się. Kubok stał obok i patrzył z niepokojem w oczy inspektora.

— Hm... zdaje się... że nie... — rzekł w końcu inspektor. — Musiano by z powodu niego przebudować kilkanaście metrów pochylni... Nie opłaciłoby się!

— Ale on tu do reszty oślepnie!

— Hm... Boże... trudno! To oślepnie. Trudno inaczej. To samo będzie z nim, co z innymi końmi. Dawno już w kopalni?

— Trzeci rok się kończy.

— Inne konie przebywały dłużej, zanim oślepły. Po kilkanaście lat. A niektóre wcale nie ślepły.

— Ale przecież Łysek musi być kiedyś wywieziony na powierzchnię, pięknie proszę, panie inspektorze. Przecież musi być kiedyś na wierzchu. On tu nie ma słońca ani nic!

Inspektor spojrzał zdziwiony na kulawego Kuboka i oczy mu zgasły jakby z żalu.

— Musi... Hm, pewnie, że musi. A co zrobić? Przecież sami widzicie, że się nie da tego wykonać. Musi pozostać w pokładzie. A gdy już będzie do niczego, zastrzeli się go tutaj i zwłoki wywiezie.

— Chryste Panie!

— No, co z wami?... Nie można inaczej!... Przebudowa pochylni byłaby za kosztowna.

Kubokowi ścisnęło się serce. Chciał prosić o łaskę dla swego towarzysza, chciał krzyczeć o litość dla niego, lecz nie śmiał. Nie wypadało. Wszyscy górnicy śmialiby się z niego, gdyby się dowiedzieli, że Kubok przejmuje się tak bardzo losem ślepnącego Łyska. Zacisnął więc tylko pięści i patrzył w inspektora. Inspektor był nachmurzony.

— Szczęść Boże! — rzekł w końcu i zabrał się do odejścia.

— Panie inspektor!...

Zatrzymał się inspektor, bo w głosie Kuboka wyczuł dławioną rozpacz.

— Co jest?

— Panie inspektor, a gdyby tak się stało...

— Co takiego?

— ...gdyby tak się stało, że... że...

— Ech, nie plećcie! — żachnął się inspektor. Wnet jednak jego głos złagodniał, kiedy spojrzał na Łyska. Ujrzał w wyobraźni samego siebie, jak kiedyś po latach zjedzie do pokładu Idy i stanie przed Łyskiem. Łysek będzie już ślepy. Wyciągnie swój łeb, obwącha jego dłonie, zarży leciuchno i położy mu głowę na ramieniu. A on strąci ją z ramienia, stanie z boku, podniesie rewolwer i strzeli. Koń zwali się z jękiem na kamienie, może potem jeszcze raz zarży i skona. A wtedy...

— Posłuchajcie, Kubok... — rzekł mocno. — Ja wszystko uczynię, żeby konia wywieźć. Rozumiecie?

— Pońbóczek zapłać, panie inspektor!...

— No... no... dajcie spokój... Nie trzeba dziękować. Dzisiaj jeszcze nic nie przyrzekam. Gdy się nadarzy najbliższa sposobność, polecę na własną odpowiedzialność przebudować pochylnię. Lecz wiecie sami, że taka sposobność nie tak często się nadarza. Można będzie jeszcze lata czekać na nią. No, szczęść Boże!... — rzekł i poszedł.

— Dej Panie Boże! — szepnął Kubok radośnie, bo wielka kropla miodu kapła w jego zbolałe serce.

Wierny kamrat

Mijały tygodnie, mijały miesiące, minął w końcu rok cały, a sposobność wciąż się nie nadarzała. A strop w pochylni obniżał się coraz bardziej.

— No, i co, Kuboku? — spytał inżynier.

— Nic, pięknie proszę, panie inżynier — mówił Kubok. — Pan inspektor powiedział, że gdy nadarzy się sposobność, to każe przebudować pochylnię, strop oberwać, żeby Łysek mógł przejść.

— Hm, nie tak rychło się tego doczekacie! — mruknął inżynier i odszedł.

— Pierona, albo sam wywiercę dziurę w stropie, wsadzę dynamit, zapalę lonty i niech dynamit uczyni przejście! — myślał chwilami Kubok, spluwając ze złością.

Łysek wciąż wędrował głównym chodnikiem w pokładzie Idy i wciąż wlókł za sobą wózki z węglem pod pochylnię i wracał z próżnymi do przodka. Znał już swoją drogę na pamięć. Bywały wypadki, że nie czekał na Kuboka, lecz ruszał po ciemku. Kiedy ciągnął pełne wagoniki, a dojechał do połowy chodnika, gdzie zaczynał się mały upad, zatrzymywał cały pociąg, zapierając się zadem w przedni wagonik, a kopytami w ziemię. Potem czekał na Kuboka, żeby wsadził kół pod pierwszy

wagonik. A kiedy zdyszany Kubok przykusztykał za nim i zahamował koła, ciągnął znowu.

Z czasem wyczerpał się pokład węgla u swego krańca i górnicy cofnęli się do połowy chodnika, rozpoczynając wybierkę węgla po jego obu stronach. Teraz już Kubok nie zaprzęgał Łyska do pociągu w przodku, gdzie pracowali górnicy, gdyż stąd było już bardzo blisko do tamtego lekkiego upadu. Wystarczyło tylko podepchnąć wagoniki kilka metrów, a one już potem same pędziły po chodniku. Zatrzymywały się o jakieś sto metrów za tamtą pochyłością, gdzie tor był już zupełnie równy. Kubok podchodził wtedy z Łyskiem do wagoników, zaprzęgał go i jechał pod pochylnię. Próżne wagoniki zaś wywlekał z nim do samego przodka, po czym obydwaj wracali pod upad, żeby czekać na ich przybycie.

Mieli odtąd mniej roboty i dlatego też obydwaj odpoczywali z ulgą na chodniku. Cisza była wokoło. Kubok siedział pod ścianą i żuł tytoń, Łysek zaś sapał, przeżuwając wędzidło w zębach i patrzał na Kuboka. Potem znienacka dolatywał obydwóch grzmot staczających się wagoników. Kubok wstawał wtedy i patrzył w ciemny ganek, Łysek zaś oglądał się za siebie i strzygł uszami.

— Nie bój się, Łysku, ni!... — uspokajał go Kubok i gładził dłonią po karku.

Grzmot rósł coraz bardziej, przetaczał się ciasnym korytarzem, pęczniał i huczał przeciągle, a potem stopniowo znowu przycichał, zamieniał się w powolny turkot, aż w końcu całkiem ustawał. Trwało to niedługo. Kiedy już nastała cisza, był to znak, że wagoniki stanęły. Istotnie, na kilka metrów przed Kubokiem wyłaniał się z mroku ich czarny korowód, czekający Łyskowego zaprzęgu.

I znów mijały dni, mijały tygodnie i miesiące.

W położeniu Łyska nic się nie zmieniało. Tyle tylko chyba, że oczy jego coraz bardziej mętniały. Stare serce Kubokowe coraz bardziej zaś kurczyło się z bólu na ten widok.

— Pierona, albo wywiercę dziury w stropie na pochylni, wsadzę dynamit, podpalę lonty i niech dynamit zerwie strop, żeby mój Łysek mógł potem przejść przez nową odbudowę! — myślał wciąż Kubok. Brakło mu jednak odwagi, żeby coś podobnego uczynić. Tego nie można uczynić!... Skądżeby?... — Chryste Panie!

Spluwał tedy ciężko i żegnał się nabożnie, pragnąc tamtą myśl natrętną odegnać.

Aż w końcu przyszedł taki dzień, na który czekał Kubok i pan inspektor.

Łysek podciągnął próżne wagoniki do przodu i wrócił pod upad, prowadzony za uzdę.

— Czekaj na mnie, aż wrócę!... — rzekł Kubok do Łyska i wrócił się. Zauważył był bowiem, że tor kolejowy w upadzie trochę się obluźnił. Trzeba będzie go naprawić. Wbije do podkładów kilka nowych gwoździ z szerokimi czapami, ujmie nimi szynę i szyna będzie znowu trzymała jak się patrzy. Inaczej toczące się wagoniki mogą się wykoleić i przysporzą niepotrzebnej roboty.

Podszedł z młotem i gwoździami. Jął się szybko pracy, by ją skończyć, zanim nadbiegną wagoniki. Nachylił się i zaczął wbijać gwoździe w podkład. Lampa pełgała uwieszona u stempla. W czasie pracy zdawało mu się, że ze ściany posypuje się na niego drobny miał. Spojrzał raz, spojrzał drugi raz, lecz nic groźnego nie zauważył. Ściana była wprawdzie porysowana i spękana, lecz zarwaniem nie grozi. Gdzieżby tam! Przedostatni gwóźdź wbijał, kiedy znienacka rozleciał się nad nim suchy trzask, a równocześnie wystrzelił gwałtowny, krótki łoskot obrywającej się calizny. Chciał się zerwać, odskoczyć, lecz w tej samej chwili wyczuł ostry ból w schylonym grzbiecie i ogromny ciężar przytłoczył go do ziemi.

— Jezus!... — krzyknął i nastała cisza.

Zrozumiał, że przywalił go odłupany blok węgla. Szarpnął się raz i drugi. Nie może się ruszyć. Ból odbiera mu przytomność. Czuje się jakby ujęty w kleszcze. Wygina się z trudem i patrzy. Blok leży na jego plecach, wsparty z boku na stemplach. Gdyby mógł dłonią zaczepić o tamte stemple, gdyby mu ktoś dłoń podał i podciągnął, wydobyłby się. Próbuje dosięgnąć ramieniem stempla. Nie może. Wysila się, wydziera... Blok nie puszcza go z uwięzi. A tam już wagoniki jadą!... Słyszy wyraźnie! Jadą! Teraz śpieszą... pędzą!...

— Jezus!... Maryjo!... Łysek!... Łysek!... — krzyknął.

Zrozumiał, że rozpędzony pociąg nadleci z furią, wpadnie na ów blok, pod którym leży, spiętrzy się nad nim, przywali i życie wydusi...

— Łysek!... Łysek!... — krzyknął jeszcze raz, gdyż widmo śmierci stanęło przed jego oczyma.

Wagoniki grzmią coraz donośniej, ryczą, coraz bliżej...

— Łysek!... — woła ostatkiem sił.

Łoskot pociągu leci do niego, coraz bliższy, coraz okropniejszy. Zdaje mu się, że już widzi nadbiegające wagoniki, podobne do poczwar z rozdziawionymi pyskami.

Zamyka oczy, bo coś się z nim dzieje. Potwór z rozwartym pyskiem chrapie nad nim: — Śmierć!... śmierć...

Porywa go coś gwałtownie za marynarkę na karku, szarpie mocno, wyciąga spod bryły węgla i wlecze...

Za nim spiętrzył się zgrzyt żelaza i trzask łamanego drzewa.

Zemdlał.

Otworzył oczy, kiedy ktoś chlusnął mu w twarz zimną wodą.

— Co to?... Co to?... — mamle zdziwiony.

— Nic! — słyszy nad sobą czyjś głos. — Nic wam nie będzie... Dwa żebra złamane. Wyleczycie się w szpitalu.

— Co to?... — pyta Kubok, nic nie rozumiejąc.

— Łysek was wyratował — słyszy znowu tamten głos. — Łysek was wyciągnął spod oberwanego bloku. Chwycił zębami za marynarkę na karku i wydobył. W ostatniej chwili!

— Mój Łysek!... — szepnął wzruszony Kubok, bo teraz wszystko pojął.

— ...A jutro nastąpi odbudowa pochylni i Łysek wyjedzie na powierzchnię... Bo człowiekowi życie uratował! — tłumaczy wciąż ten sam głos.

Podnosi głowę Kubok i widzi nad sobą ludzi, między nimi inspektora, z boku zaś Łyska. Łysek wyciąga do niego swój łeb, patrzy mądrymi oczyma i cicho rży.

(Koniec)

Gustaw Morcinek
Rys. Jerzy Flisak

NASZE PRZYGODY

ROBIMY KARMNIKI

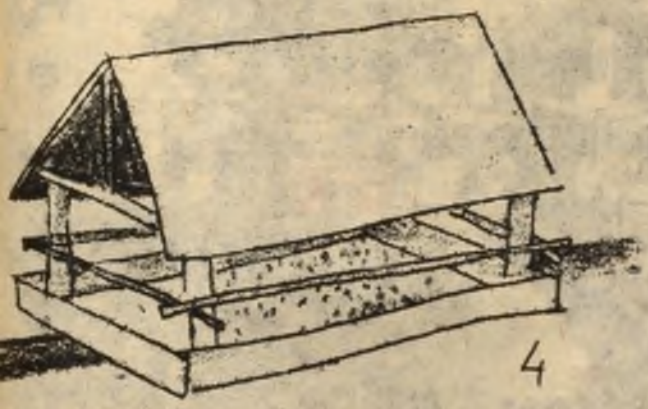

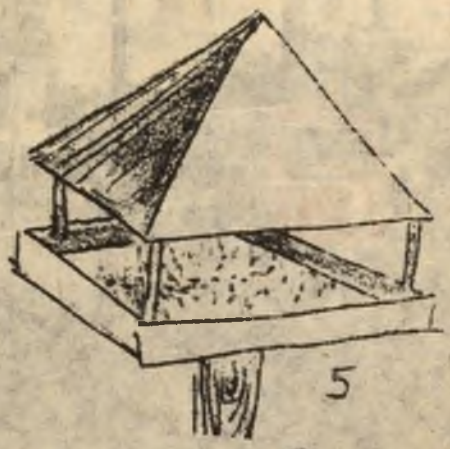

Dla sikor warto przygotować karmniki tłuszczowe. Widzicie je na rys. 1, 2, i 3.

Do niewielkiej doniczki wlewamy roztopiony, nie solony łój zwierzęcy, zmieszany np. z siemieniem lnianym lub innymi nasionami, i po zakrzepnięciu tłuszczu wieszamy ją do góry dnem na gałęzi drzewa.

Otwory w deseczce lub nacięcia w kawałku patyka również wypełniamy mieszaniną tłuszczu i nasion.

Karmniki przedstawione na rys. 4 i 5 możecie zrobić w domu lub w szkolnej pracowni. Wykonanie ich nie będzie zbyt trudne, należy tylko zgromadzić odpowiedni materiał: parę deseczek, sklejkę, gwoździki. Karmniki takie ustawiamy w pobliżu zabudowań lub w ogrodzie. Sypiemy do nich ziarno, okruchy i nasiona roślin. Korzystać z nich będą ptaki należące do różnych gatunków.

Na rys. 6 — karmnik butelkowy, który napełnia się ziarnem lub nasionami, a więc pokarmem sypkim.

Butelka przymocowana jest do deseczki paskami metalowymi lub skórzanymi. Poniżej szyjki znajduje się tacka, na którą sypie się pokarm z butelki.

Fot. Wiktor Pawłowski
Rys. Joanna Kusek

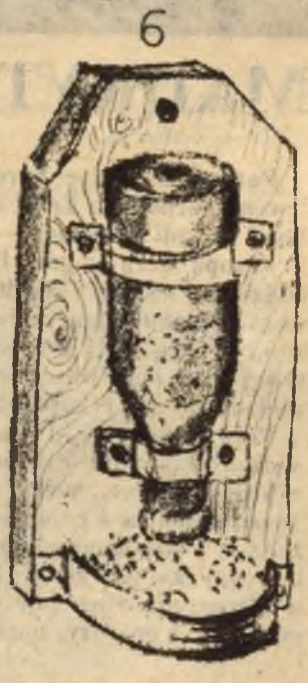

MADRYT

Ten okazały budynek na Plaza de Cibeles — to poczta główna

Patrząc na mapę Europy, widzimy na jej lewym, zachodnim krańcu siódmy co do wielkości na kuli ziemskiej — Półwysep Iberyjski. Z Europą łączą go góry Pireneje, a od Afryki oddziela Cieśnina Gibraltarska. Oblewają go wody Oceanu Atlantyckiego i ciepłego Morza Śródziemnego. Na Półwyspie Iberyjskim leżą tylko dwa państwa: Portugalia i pięć razy większa od niej Hiszpania.

Półwysep Iberyjski znajduje się w klimacie podzwrotnikowym. Prawie cała Hiszpania leży w kontynentalnej, suchej strefie tego klimatu. Tylko północne i południowe jej krańce położone są w strefie morskiej klimatu podzwrotnikowego, tam jest nieco chłodniej. Dlatego też w Hiszpanii rosną gaje oliwne, cytryny, pomarańcze i granaty, uprawia się arbuzy. Ponieważ jest bardzo ciepło, żniwa kończą się już w czerwcu. Właśnie czerwiec jest sezonem brzoskwiniowym i arbuzowym, a sezonem dojrzewania pomarańcz jest przełom lutego i marca. Prawdziwa zima w Hiszpanii zdarza się rzadko, a śnieg obejrzeć można w górach i tam także można odetchnąć chłodniejszym powietrzem.

Stolicą Hiszpanii jest Madryt, leżący prawie pośrodku Półwyspu Iberyjskiego. Miasto to odwiedziliśmy w czerwcu i trochę trudno było nam się przyzwyczaić do tego, że słońce wschodziło około godziny 7.30, a zachodziło po godzinie 22.00. Około 21.00 słońce świeciło jeszcze tak jasno, jak w Polsce około godziny 16.00. W Madrycie dzień nauki i pracy rozpoczyna się około godziny 9.00, a kończy się

około 20.00. W południe jest kilkugodzinna przerwa — sjesta. W czasie sjesty w słońcu temperatura często sięga 50°C, a w cieniu przekracza 35°C. Powietrze wtedy jest tak suche i gorące, że niemożliwa staje się nauka i praca. Dlatego wszyscy uciekają do chłodnych murów swoich domów i odpoczywając przeczekują ten skwar. Potem wracają do szkół i do pracy, a dopiero gdy zapadnie zmierzch, towarzyscy Hiszpanie spotykają się w licznych kafejkach, tawernach i, popijając chłodne napoje, dyskutują i bawią się do wczesnych godzin rannych.

Dzieci z rodzicami lubią chodzić do pięknych i licznych madryckich parków. Największy nazywa się Retiro. Pełno w nim sadzawek, rzeźb, egzotycznych roślin. Znajduje się też tu duży staw, po którym można pływać łódkami.

W madryckim ogrodzie botanicznym jest wiele starannie pielęgnowanych roślin ze wszystkich stron świata. W ubiegłych stuleciach, kiedy Hiszpanią rządzili królowie, na ich rozkaz gubernatorzy prowincji musieli przysyłać z kolonii hiszpańskich nasiona roślin, kwiatów, krzewów i drzew do królewskiego ogrodu. Potem ogród ten stał się własnością wszystkich Hiszpanów i dzisiaj wzbudza podziw zwiedzających swoim pięknem i różnorodnymi, egzotycznymi gatunkami roślin. Warto dodać, że ogółem zgromadzono tu ich aż 30 000 gatunków.

Prawie na każdym rogu madryckich ulic znajdują się maleńkie budki z pysznymi lodami o różnych smakach i z różnymi dodatkami. Budki te oblepione są kolorowymi zdjęciami reklamującymi sprzedawane delicje.

Waszych rówieśników najczęściej widzi się z rodzicami. Hiszpanie bardzo kochają swe dzieci, dbają o nie i chcą być z nich dumni. W dzielnicach mieszkaniowych dzieci bawią się na takich jak u nas placach zabaw, tylko że zamiast kasztanów i topoli rosną tam wokoło palmy i kaktusy. Niestety, widywaliśmy też dzieci biedne, żebrzące razem z rodzicami na ulicach i w metrze, dzieci zbierające wyrzucane ze straganów owoce. Ich rodzice nie mają pracy, należą do 2,5 miliona bezrobotnych w Hiszpanii.

Madryt został stolicą Hiszpanii w XVI wieku. Jest to miasto olbrzymie, mieszka w nim ponad 3 miliony ludzi. Na ulicach panuje wielki ruch i jest bardzo dużo samochodów. W śródmieściu Madrytu ciężko się oddycha, bo powietrze jest bardzo zanieczyszczone spalinami samochodów i autobusów. Samochody w większości są produkcji hiszpańskiej i noszą nazwę SEAT. Starsze modele wzorowane są na samochodach FIATA, a nowsze to RONDO, MALAGA i IBIZA. Niektóre z nich mają być prezentowane na łamach „Młodego Technika".

W Madrycie nie ma tramwajów i trolejbusów, kursują tylko autobusy i — wagony metra. Metro jest szybkie i doskonałe, zbudowano już 10 linii, którymi można dostać się do dowolnego punktu w mieście. Główną ulicą jest GRAN VIA z potężnymi budynkami, w których mieszczą się biura, banki, sklepy, hotele i domy towarowe. Jest tu jednak bardzo drogo.

Powoli wracamy szarpiącym, niewygodnym autobusem do naszych gospodarzy. Czeka nas jeszcze kolacja: doskonały biały chleb i sałatka z pomidorów, cebuli, sałaty skropionej oliwą z oliwek. Jutro pojedziemy do Toledo, miasta-muzeum. Ale o tym opowiemy już w następnym odcinku.

Józef Cypel

Plaza Major stanowi ulubione miejsce spotkań turystów. Na jego środku stoi pomnik Filipa III, króla Hiszpanii, z roku 1616. Tutaj, na tym placu, Święta Inkwizycja żywcem paliła swoje ofiary, tutaj odbywały się corridy (walki byków), czy też zebrania. Plac otoczony jest ze wszystkich stron domami. Każde okno wychodzące na plac ma balkon — jest ich ogółem 437.

Wejście do kina. Do obejrzenia filmu zachęcają kolorowe plakaty, a do odpoczynku i wypicia kawy lub chłodnego napoju — stoliki w wielu kafejkach.

Fot. Władysław P. Jabłoński

DBAMY O ZDROWIE (5)

Kilka uwag o wadach postawy u dzieci

Dbałość o postawę i jej dobry wygląd towarzyszy człowiekowi od zarania dziejów ludzkości. Walka o byt i bezpieczeństwo wymagały zawsze od człowieka dobrej sprawności całego organizmu.

Najdobitniejszym tego wyrazem jest starogrecka „kalokagathia", czyli dążenie do piękna i dobra („kalos" — piękny i „agathos" — dobry). Dążenie do piękna i harmonii ruchów pobudzało cywilizowanego człowieka do zapobiegania wadom w postawie ciała, jak również do ich leczenia.

Proste trzymanie się określamy jako dobre, ładne, wywołujące nieraz podziw, a nawet zazdrość. Postawa niedbała, zapadnięta jest nieładna, nieprawidłowa.

Postawa ciała zmienia się w ciągu dnia. Dobre samopoczucie, radość, chęć do pracy, dobrej prezencji pobudza nas do przybierania lepszej postawy. Odwrotnie, zmęczenie, przygnębienie, złe samopoczucie powoduje, że przybieramy postawę niedbałą. Dobra postawa może również pogorszyć się w pewnych okresach życia człowieka.

Pierwszym okresem mającym duży wpływ na postawę człowieka i najbardziej niebezpiecznym jest początkowy rok nauki szkolnej. Przyczynia się do tego nagła zmiana trybu życia dziecka, wymuszanie pewnych pozycji, np. zbyt długie siedzenie w ławce szkolnej, zmniejszenie ruchu na powietrzu, konieczność odrabiania lekcji w domu itp.

Dlatego koniecznie trzeba usuwać wszelkie czynniki, które zwiększają możliwość przybierania przez dziecko złej postawy i stanowią zagrożenie dla ukształtowania jego prawidłowej sylwetki. Czynników takich jest wiele. Wymienić tu trzeba wadliwe noszenie teczki szkolnej, zła pozycja przy odrabianiu lekcji, nieodpowiednie ławki w szkole, częste oglądanie telewizji w pozycji leżącej, złe obuwie.

Dorośli i dzieci powinni znać oczywistą prawdę: **bardzo trudno jest leczyć wady postawy, znacznie łatwiej jest im zapobiegać.**

Najczęściej spotykane wady postawy — to boczne skrzywienie kręgosłupa (skolioza) oraz płaskostopie.

Doc. dr Bronisław Stawarz
Fot. Michał Fluder

1. Tak wygląda Twój kręgosłup, gdy stoisz prosto i nic nie trzymasz w rękach.
2. A tak, gdy niesiesz teczkę z książkami, która waży 2 kg. Twój kręgosłup zaczyna się wyginać.
3. Bierzesz do teczki więcej książek. Jest Ci ciężko, gdy teczka waży aż 4 kg i obciąga Ci ramię. Chcesz zachować przeciwwagę, więc

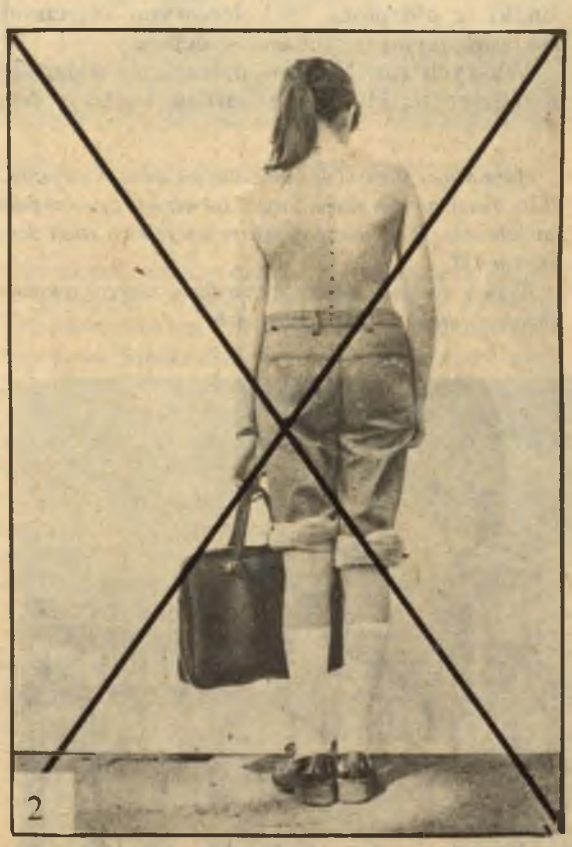

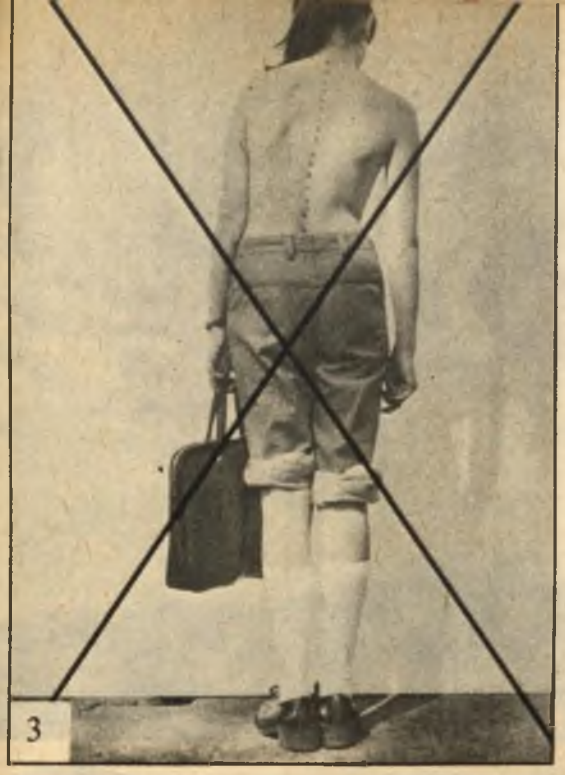

przechylasz się w przeciwną stronę. Twój kręgosłup jest także wygięty.

4. Idziesz z torbą na ramieniu. Aby Ci się nie zsuwała, musisz podnieść ramię. Twój kręgosłup nie pozostał na to obojętny, również się wygiął.

5. Idziesz do szkoły z tornistrem lub plecakiem. Masz jednakowo zapięte paski, tornister przylega do pleców. Utrzymujesz prostą pozycję i Twój kręgosłup jest prosty.

6. Uważaj więc zawsze, gdyż Twój kręgosłup jest bardzo wrażliwy na wszelkie obciążenia. Uwaga! Jeżeli musicie przenieść jakiś ciężar w jednej ręce, pamiętajcie, że trzeba co jakiś czas zmienić rękę.

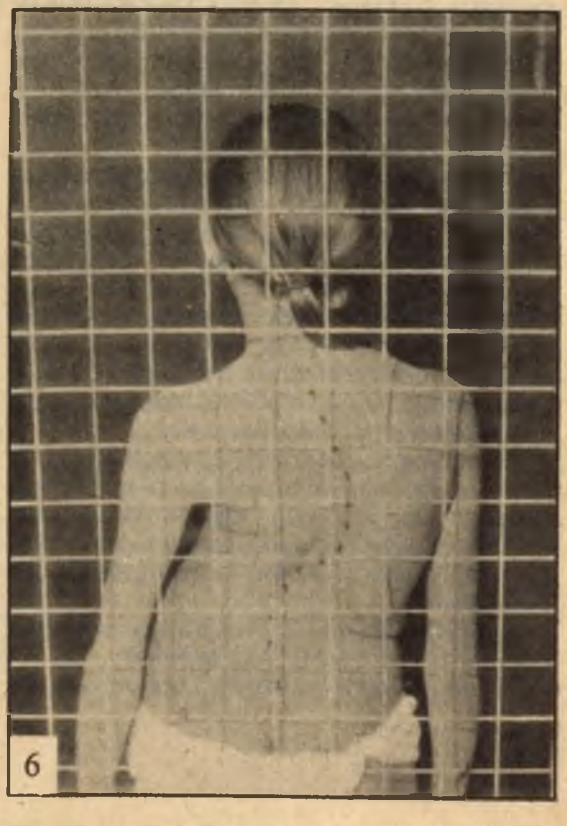

WĘŻE TEŻ SĄ PIĘKNE

Spójrzcie na te fotografie. Jak widać, nie tylko ryby koralowe, papugi, kolibry czy inne ptaki, albo motyle, mogą czarować nas pięknymi barwami. Pod tym względem węże wcale nie są gorsze. Wprawdzie nie darzymy ich na ogół sympatią, bo bywają jadowite, i tak dziwnie się poruszają, ale postarajcie się odrzucić te uprzedzenia, a obiektywnie przyznacie, że i one mogłyby stanąć do „konkursu piękności". Zastanówmy się teraz trochę, jaką rolę pełnią kolory w życiu tych zwierząt.

Niezwykle ostre, jaskrawe zestawienia kolorów: czerwieni, żółci, czerni lub granatu, są typowe dla tzw. węży koralowych. Występują one na terenach obydwu Ameryk i są jadowite. Ponieważ te powolne, nieagresywne zwierzęta naprawdę rzadko tylko decydują się ukąsić, przez długi czas niektóre z nich (np. arlekina) uważano za nieszkodliwe, bawiono się z nimi i głaskano je. Dopiero później okazało się, jak niebezpieczna jest taka zażyłość...

Przyczyna nieporozumienia mogła tkwić nie tylko w spokojnym usposobieniu tych węży. Okazało się, że liczne niejadowite całkiem bezbronne węże tak upodabniają się do swych jadowitych pobratymców, że są wprost nie do odróżnienia.

Spójrzcie na fot. 2. Znajdujący się wyżej osobnik to prawdziwy wąż koralowy, ten zaś niżej jest „fałszywym wężem koralowym", so-

bowtórem nie posiadającym żadnej broni! I jak tu się nie omylić?

Muszę wam teraz powiedzieć coś naprawdę ciekawego: otóż to nie jest przypadkowe podobieństwo! Tak to już jest w przyrodzie, że niezwykle jaskrawe i kontrastowo zestawione barwy cechują zwierzęta, które z różnych powodów lepiej zostawić w spokoju, bo są np. niesmaczne, jadowite, trujące, lub mają jakąś broń. Takie ubarwienie już z daleka rzuca się w oczy niby jakiś ostrzegawczy sygnał. Toteż zwykło się je określać właśnie barwami ostrzegawczymi. Większość potencjalnych wrogów doskonale rozumie znaczenie kolorowych sygnałów i zostawia takiego podejrzanego osobnika w spokoju.

Łatwo też sobie wyobrazić, że bezbronny, choć podobny do jadowitego krewniaka osobnik, będzie potraktowany tak jak ten istotnie groźny. Toteż w toku ewolucji niektóre gatunki niejadowite (czyli obecne fałszywe węże koralowe) upodobniły się do tych prawdziwych.

Proszę tylko nie wyobrażać sobie, że biedne,

niejadowite wężyki pomyślały sobie, że dla własnego ich dobra należy trochę zmienić wygląd, i następnie zrealizowały ten śmiały plan. Tak się oczywiście nie działo, a upodobnienie w wyglądzie nie jest wynikiem celowego działania. Po prostu tym osobnikom, które były bardziej kolorowe, a przez to wykazywały podobieństwo do jadowitych, łatwiej przychodziło przeżyć, a co za tym idzie — wydać na świat potomstwo. W ciągu tysięcy lat ewolucji te pożądane cechy utrwaliły się, aż powstały gatunki fałszywych węży koralowych.

Jaskrawe kolory nie zawsze mają ostrzegawczy charakter. Temu pięknemu, zielonemu pytonowi drzewnemu kolor ułatwia ukrycie się wśród równie zielonych liści. Wąż ten prowadzi nadrzewny tryb życia i trudno go wypatrzyć, gdy zwinięty i nieruchomy czatuje wśród zieleni na swą ofiarę. Zatem w tym wypadku kolor pełni rolę czapki niewidki, umożliwiającej zwierzęciu doskonałe ukrycie się. To samo dotyczy niejadowitego węża trawnego. Oczywiście czapka niewidka nie musi być zielona. Wszystko zależy od środowiska, w jakim żyje dany wąż. Jeśli przebywa na pustyni, to kolor powinien zlewać się z piaskiem, jeśli na ziemi, to lepszy będzie brunatny. Ciemne ubarwienie anakondy sprawia, że i w wodzie i na konarach drzew jest ona niewidoczna. Liczne desenie, ciapki, pręgi itd. na wężowej skórze to także najczęściej czapki niewidki, przypominające plamy słońca na korze drzew, różne odcienie podłoża itd.

Te pięknie stonowane kolory sprawiają, że skóra węży jest piękna. I trudno się dziwić, że służy ona jako cenny surowiec do wyrobu torebek, butów czy pasków. Wyroby z wężowej skóry są uważane za eleganckie i piękne, a więc są bardzo drogie. Tylko szkoda tych pięknych węży, które straciły życie, żeby ktoś mógł nosić... np. piękne buciki.

Anna Siwkiewicz

LABIRYNT

Spróbujcie odnaleźć właściwą drogę do środka labiryntu.

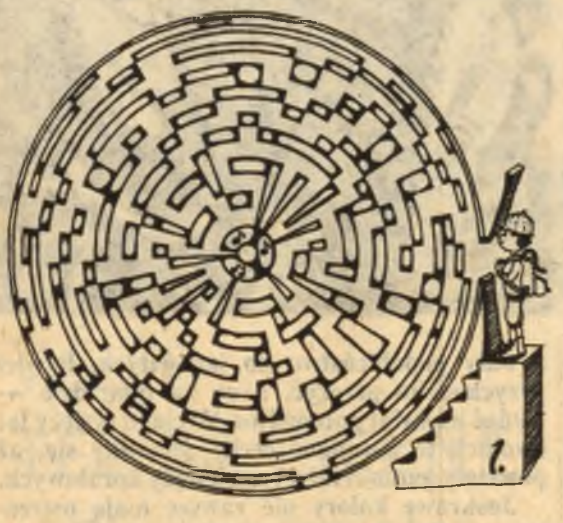

MAGICZNA KOSTKA

W kółka znajdujące się w rogach kostki należy wpisać cyfry od 1 do 7 tak, by suma cyfr na każdej ściance kostki wynosiła 21, wliczając w to oczka widoczne na poszczególnych ściankach kostki.

J. S.

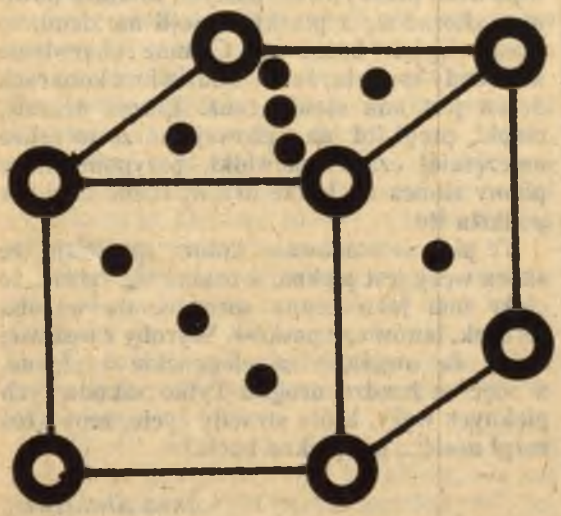

KRZYŻÓWKA

W puste kratki krzyżówki wpiszcie wyrazy o podanych niżej znaczeniach.
Poziomo: 5. skrzyżowanie roweru z motorem, 6. w tej chwili rozwiązujesz. Pionowo: 1. przeciwieństwo zła, 2. największa z małp, 3. zupa z kury, 4. niejedna jest w tartaku.

J. S.

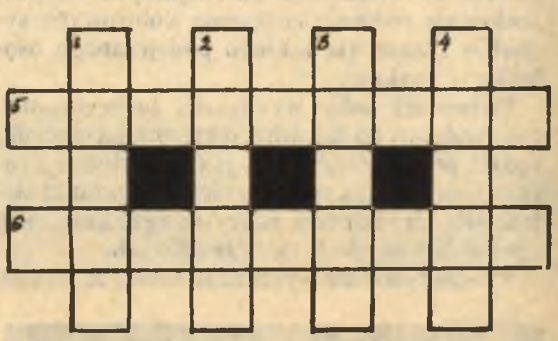

ZAGADKI

1.
Z jednych — liście i kwiatki,
inne — przysmak rzadki.

2.
Natury igraszka:
jest jak ryba, potem jak traszka.
Bez ogona z wody wyłazi,
a do wody skacze.

3.
Tkanina znana.
A dzieło czyje?
Mucha w niej utknie,
bąk ją przebije.

W. S.

UKRYTE PTAKI

W niżej podanych zdaniach ukryte są nazwy ptaków. Odszukaj je.

1. Edward rozdarł sobie spodnie.
2. Nadchodzi srogi luty.
3. Płyną po jeziorze łódki i kajaki.
4. Zupa wystygła już Zosi.
5. Gdzie jest masło, Wiktorze?
6. Jadzię bardzo boli ząb.
7. Za parę chwil Gabryś będzie w szkole.
8. Czy w koszyku masz same warzywa?

NASZ ZWIERZYNIEC

PERKOZ DWUCZUBY

Ptak ten dorównuje wielkością dzikiej kaczce, można go ujrzeć na dużych stawach i jeziorach, gdzie przybrzeżna roślinność jest obfita, a toń głęboka. W tym środowisku można spotkać gniazdo perkoza uwite z trzciny i sitowia, swobodnie pływające na podobieństwo tratwy. Jajom śnieżnobiałej barwy, a następnie pisklętom nie grozi niebezpieczeństwo od strony lądu, natomiast czyhają na nie wrony, sroki lub myszołowy. Pamięta o tym samiczka i gdy opuszcza gniazdo, przykrywa jajeczka zbutwiałymi badylami. Z czasem samo gniazdo przychodzi jej z pomocą. Rozkładający się pod wpływem ciepła i wody materiał, z którego zbudowane jest posłanie, barwi jajeczka jak wielkanocne pisanki na brązowo, maskując je w ten sposób przed nieprzyjacielem. Pisklęta zaraz po wykluciu poruszają się samodzielnie, gdyż są zagniazdownikami jak inne ptactwo wodne. Jednak nie opuszczają matki. Ba, nawet gramolą się na jej grzbiet, chronią się pod jej skrzydłami. Każdy fotograf-ornitolog czyha na taką rodzinną scenę. Matka nurkuje razem_z pisklętami, nawet gdy są jeszcze małe. Potem, gdy stają się większe, zrzuca je z siebie na ten czas. Perkozy łowią drobne rybki — uklejki i płotki, żaby i owady wodne. Podobnie jak nury czy kaczki, perkozy mogą pozostawać zanurzone w wodzie przez kilka minut. W nurkowaniu pomagają im nogi, których palce niecałkowicie są spięte błoną. Pływając, mogą perkozy zanurzać się w różnym stopniu. Niekiedy obserwuje się wystającą ponad powierzchnię jedynie szyję sterczącą jak peryskop, lub tylko głowę, na której u naszych perkozów widnieją dwa czubki. Perkozy nie stroją się zbytnio w okresie godowym. Latają rzadko, gdy już muszą, a lot odbywa się w linii prostej. Na zimę odlatują wprost do Afryki.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Joanna Kusek

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4, skr. pocztowa 380 00-950 Warszawa tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 180 zł, półrocznie — 360 zł, rocznie — 720 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (redaktor graficzny), Teresa Wilk-Białożej

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zdzisław Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata za zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych
i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny:
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.

Zam. 3489/87 D-23
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

tekst na str. 31

PERKOZ DWUCZUBY

Fot. Michał Wlaziński

CENA 25 ZŁ